Cena 6 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II. LUBLIN, 1 KWIETNIA 1946 R. Nr 7

ANNA KAMIEŃSKA

SZTUKA A SPOŁECZEŃSTWO

Prawo do korzystania z darów sztuki jest udziałem każdego człowieka przynajmniej od czasów teoretycznego przyznania człowieczeństwa wszystkim ludziom bez względu na urodzenie i narzucone przez nie funkcje. Data leży w obszarze opinii społecznej czasu przeszłego. Lecz zanim i tego prawa nie przyznano rozległemu „ludowi" — sam sięgnął po nie, tworząc własną sztukę wytryskującą czasem zdrowym źródłem dla umysłu pracującego w ramach kultury ogólnonarodowej.

Lecz cóż nam po ludzkim prawie do sztuki — gdy nie mamy możliwości realizowania prawa? Cóż nam po subtelnym poemacie — gdy w naszej wsi jest szkoła trzyklasowa, w której zaledwie nauczymy się składać słowa, by zapomnieć i tej wielkiej sztuki po paru latach? Cóż nam po koncercie symfonicznym, gdy ta niewiadomo dlaczego podenerwowana muzyka tak źle przygrywa naszym zalotom? Cóż nam po waszych „martwych naturach", gdy piękniej na ścianach lśnią nam drukowane kwiaty i zachody słońca?

Mamy prawo cieszyć się waszą sztuką, ale ona nas nie cieszy. Martwe jest wasze prawo, dopóki nie otworzycie nam mózgów, oczu, uszu.

Podoba się niesmaczna komedyjka o przypadku panny Jadzi — a my marzymy o nowym Szekspirze dla wszystkich. Wystarcza ckliwa melodyjka z patriotyczną łezką o Warszawie — a my przeczuwamy ciszę zasłuchanego w operę narodową tłumu. Szukają grzmiącego wiersza na wybuch narodowego entuzjazmu, żądają wstrząsów i dreszczów — a my, trudząc się wedle sił nad każdym zdaniem, chcielibyśmy sprawić, aby było uczciwe w środkach i efektach, aby zamiast samego jątrzenia wyobraźni służyło do rozumienia, aby zamiast pokrzykiwania na ospałe uczucia — budziło pierwsze i czyste poruszenia emocji, aby poezja powstawała w nowej godzinie narodzin ludzkich pojęć, jak: nienawiść, łagodność, rozsądek, syn, brat.

I pocóż to? Aby naszym elitarnym sumieniom nie było przykro, że rozkosze dla nas dostępne — innym są wzbronione? Ach, nie dlatego, żeby prawa nie mieli, to prawo dawno przyznaliśmy im wszystkim.

Wielkim więc dobrem byłaby ta sztuka, której przykro kosztować w samolubnym odosobnieniu? A może jest ona czymś innym — nie tylko czystą rozkoszą, a narzędziem społecznym prostowania się moralnego? A jeszcze oczyszczania się sądu z indywidualnych przypadkowości umysłu?

Tak, tak czy inaczej — dobrem jest sztuka. Warto mieć do niej prawo i ubiegać się o jego zaktualizowanie.

W żądaniu społecznym: chcemy sztuki — brzmi przekonanie o dobru jej dla niej samej. Moralność, rozum, uciecha przez sztukę — więc chcemy sztuki. Przejaw narodowej kultury — sztuka, więc chcemy sztuki. Chcemy, ponieważ jest dobrem, i chcemy, ponieważ do dobra tego mamy prawo.

Lecz nieszczęsne hasło „sztuka dla sztuki" ma historycznie sens mniej publiczny. Jest ono klanowym zawołaniem gardzących pospólstwem, jest niecierpliwym: zamknąć drzwi!, jest przyczyną powstania takiej poetyki czy takiej teorii sztuki, która nie ma znaczenia użytkowego poza szczupłym kręgiem wtajemniczonych.

Lecz my, jeśli mamy prawo do sztuki — że aż się obruszacie na wszelką wątpliwość pod tym względem — nie tylko chcemy sztuki. Chcemy takiej sztuki, która tego ośmieszonego hasła się nie wstydzi.

Jakto? Pozwolicie się panoszyć na społecznym organizmie nieproduktywnemu obcemu ciału? A może bierze was ciekawość zajrzeć w te misteria? Cóż was upewnia, że warto odcyfrowywać znaczenie poematów bez ognia i malarskich plam bez bohaterstwa?

Lecz mieliby rację stawiając takie żądanie. Bo mają prawo do sztuki najlepszej, do sztuki najwyższego gatunku.

Z tym korzystaniem z dobrej sztuki nie jest tak jak z katolicką ideą życia przyszłego w filozofii Tomasza z Akwinu. Funkcją i dobrem duszy jest tam poznawanie prawdy — a radość płynąca z tego wypełnia jednakowo wszystkie dusze niezależnie od ich pojemności poznawczej uwarunkowanej rozwojem intelektu. Sztuka nie gwarantuje tej łaski — nie spływa na wszystkich równomiernie. Mówi się, że w dobrym teatrze nawet nieuświadomiony widz odczuje obecność wzniosłości; dobry wiersz, nawet trudny, przemawia do wszystkich, bo wyraża treści ogólne. Smutne to nieporozumienie. Doznawać sztukę — znaczy przede wszystkim rozumieć — emocje są wtórne i towarzyszące. Wynika z tego, że konieczna i możliwa jest szkoła korzystania ze sztuki. Szkołą taką jest atmosfera ogólnonarodowej kultury. Co zostało przez nią zaaprobowane i wchłonięte, to gotowe już jest do szerszego niż prywatne oddziaływania.

Ogólnie biorąc (nie filologicznie), myśmy się już nauczyli Mickiewicza, a nawet Słowackiego, a także tak dobrze nauczyliśmy się ich epigonów symbolistów, twórców hasła „sztuka dla sztuki" — że nasze rozumienie poetyckie działa kategoriami ich stylu, że częstokroć prostszy język wydaje się nam zawiły tylko dlatego, że nie układa się w ich figury. Któż z nas rozumie „zadumę polną — osmętnicę", która niewiadomo poco i dlaczego włóczy się po wiejskim krajobrazie Tetmajera? Lecz uczyli nas ją rozumieć poeci i malarze i tak dobrze nauczyli, że dziś nie wiemy, o co chodzi poecie, który mówi:

„Co tu robię między troską a łanem
obłąkany przez błękit ogromny?"

Więcej trzeba skromności w stosunku do „niezrozumiałej" sztuki. Poddajmy się, niech nas uczy.

Czy warto jednak? Nie warto, jeśli domagamy się sztuki dla wstrząsów i wzruszeń. Wyżywać się — na to jest inne wrażliwe narzędzie psychiczne czy nerwowe. Sztuka nie jest dla zachwytów. Nie różniłaby się wtedy od fabryki perfum i stołu jadalnego.

Jednej rzeczy bezsprzecznie możemy żądać: niech sztuka wyraża swój czas historyczny, niech będzie współdziałająca i współczująca.

A jednak jest żądanie i od tego ważniejsze: niech będzie uczciwa i pracowita.

Jan Wiktor w „Ożywczych krynicach" chciałby usłyszeć krzyk poezji, rozczarowuje się, że zdolna ona jest zaledwie do szeptu. Chciałby, aby poeta nowy porywał się, jak jego ludzkie pokolenie, szamotał, buntował, cierpiał, aby pękało mu serce, a potem jeszcze bluzgało krwią. Takiej poezji oczekiwał Jan Wiktor i rozczarowany odłożył nowe wiersze.

Lecz my, inni, takiej poezji nie chcemy, ponieważ nie wyrażałaby ona naszego pokolenia i naszego czasu. Przeszliśmy okrucieństwo wojny nie po to, aby hodować ją nadal na szamocących się umysłach i przerosłej wyobraźni. Taka poezja witalizmu — bo, choć nie radosny, ale witalizm to żądny krwi i gęstych wrażeń — nie jest z naszego pokolenia.

Czeka nas trud przemyślenia minionego i wyprowadzenia wniosków w przyszłe. Aby szamotać się dzisiaj, trzeba by mieć wiele dróg wyjścia — nie ma nawet dwóch.

Jeśli zgodzimy się, że poezja współczesna rzeczywistości historycznej nie odtwarza, nie powinniśmy o prozie twierdzić optymistycznie, że tak jest. Chodzi o sprawę tematu. Zygmunt Radnicki w wywiadzie zamieszczonym w „Przeglądzie artystycznym" tłumaczy polskie malarstwo współczesne z niechęci do kompozycji tematycznych. Twierdzi on, że autonomiczny do pewnego stopnia rozwój sztuki malarskiej nie dojrzał lub, lepiej, nie doszedł w Polsce do tematu historycznego. Chciał on wykazać, że malarz oko w oko ze swoją martwą naturą — działa ideologicznie w swojej epoce, jeśli opanował jej środki techniczne. Malarz broni się przed narzucaniem mu tematu w chwili, gdy jest on zajęty nowym zagadnieniem malarskim, które, rozwiązane, może stanie się krokiem naprzód. Domaga się, aby szanowano jego czysty trud. Spełnia on podobną funkcję dla sztuki i jej upowszechnienia jak uczony badacz t. zw. czysty, którego nie obchodzi zastosowanie społeczne wynalazku w chwili, gdy go dokonuje.

W literaturze temat ma szersze znaczenie — lecz może się zdarzyć, że z dwóch utworów ten o tematyce wojennej mówi o wojnie mniej niż drugi, napozór od niej odległy. Mówi oczywiście nie tylko dla psychologa czy socjologa, ale uważnego czytelnika.

W nowej prozie temat wojenny często łudzi — czasem bywa on pretekstem wyłożenia jakichś prawd „ogólnoludzkich", a czasem pretekstem ćwiczeń formalnych. Gorzej, gdy okrutne sytuacje wojny, konspiracji, więzienia są elementem odpowiadającym kryminalno-sensacyjnym wątkom powieści.

Natomiast na społeczny szacunek i społeczne rozpowszechnienie zasługuje trud poety, który, jak Julian Przyboś, uważa swój język za swoją poetycką moralność. Cnotą poety jest dobry wiersz. Julian Przyboś jednak uważa swój język nie tylko za poetycka moralność „sztuka dla sztuki", lecz także za swą postawę ludzką i społeczną.

Kiedy huczały pola bitew — poeta nie łączył swego krzyku z ich gniewem, lecz „szeptem sprawdzał wyraz ostatni".

Można oczekiwać innej poezji. Nie wolno nie docenić tej niepodległości.

„Dramatyczność czasów, tragizm narodu" — może nam przyzna historia — my budujemy szkoły, aby „masy ludowe" dojrzewały do sztuki. Ciężki okres okupacji nie tylko nie wychował nas do konsumowania i współtworzenia sztuki — cofnął umysłowo i moralnie.

Hasło „sztuka dla sztuki" jest dla nas niegroźne. Hasło: „szkoła średnia dla wszystkich" — konieczne.



WACŁAW BOROWSKI — MŁODOŚĆ

JAN WIKTOR

KU NOWEJ POLSCE

Ściany świetlicy zakwitły tęczowymi barwami, znakami spółdzielczości wspólnymi dla całego świata. Wśród nich biało-czerwona kiść kwiatów: przenajświętszy symbol tej ziemi.

Wokoło nas przemoc druzgotała wszelkie przejawy ducha, pomniki przeszłości, chwały jej i dumy, wróg rozdzierał pierś milionów, chcąc wyszarpać żywe, pulsujące serce. Niedaleko stąd świstały kule, doły głębokie napełniały się rozstrzelanymi ciałami, nieraz zrywającymi się spod stert, aby zbroczonymi krwią pięściami grozić i wołać:

— Żyjemy i żyć będziemy!!!

Ciszę przerywał świst pociągów wlokących się opodal w nieznaną dal, a długi szereg ich wagonów był mogiłami, skowyczącymi: wody! Tutaj do świetlicy wróg mógł wpaść i wedle spisu, dostarczonego nieraz przez Polaka, zabrać tylu a tylu za zbrodnię, która się nazywa „POLSKA" i praca dla Polski.

Słowa wypowiadane mogły drżeć, kurczyć się ze strachu, jęczeć, martwieć, a przecież u nikogo nie znać było lęku, słowa brzmiały twardo pragnieniem czynu lub błyskały jak kilof, rąbiący skały, lub też wybuchały jak pocisk rozrywający grubą pokrywę żelaza, kryjącą w głębi moc. Okupant chce z nas uczynić wyrobników, najmitów, niewolników, sługi, nędzarzy pozbawionych duszy, godności, hartu, przygniecionych kolanem, skrępowanych więzami — ale to nic — wszystko to chwilowe, przemijające. Wicher dziejowy zmiecie ich działanie, a naród zostanie niezłomny w swym istnieniu. Zawsze i wszędzie płonął utajony wyraz „Ojczyzna", a jego blasku nic nie mogło zagasić ani zadeptać. W czasie dzisiejszej uroczystości ucichł zgrzyt sznurów szubienicznych, zniknęły mury Montelupich, nawet nie zamajaczyło widmo Oświęcimia, chociaż przecież każda chwila dni dzisiejszych wrosła w pamięć ziemi i ludzi aż do najgłębszych ich pokładów, chociaż wszędzie krwawiła się opowieść tych ostatnich lat.

Chwila milczenia.

Wszyscy wiedzieli, komu poświęcona, chociaż nikt o tym nie wspomniał. I tym, którzy w tej chwili ginęli w bohaterskich bojach, samotnym mogiłom rozrzuconym po pobojowiskach i tym, którzy ginęli za murami więzień, za drutami kolczastymi. Żywi zespolili się z umarłymi jedną myślą, jedną miłością i jednym pragnieniem. Teraz wszyscy tak żywi jak i umarli wsłuchiwali się w trzepot sztandaru, wrośniętego w garście żołnierza walczącego na wszystkich krańcach świata o chwałę imienia polskiego, o wolność narodu. Jego biel i amarant, górujący ponad sprawami, widzą i ci, którzy w podziemiach rozpalają płomienie, rzucane pod miliony pogrążone w mrokach, i ci, którzy padają w dół, wykopany na skraju lasu, nad rzekami, i ci, którzy umierają pod obcasami siepaczy niemieckich, czy pod ich rzemieniami. Ten najdroższy znak pali się w oczach do ostatniego spojrzenia, aż ziemia go zasypie, aż popiół pogrzebie i żar jego wniknie w ogień pieców, a z nich padnie na serce narodu.

Ktoś wymienił znane, drogie, czczone imię — jakby wybłysły ostrza szabli wśród płomieni, nie po to, aby wywyższać, uwielbiać zasługi czy opłakiwać pamięć, ale aby okazać jego bohaterstwo dla imienia Polski. Z rowów wydobyli to ciało rozstrzelane, spowite w sztandar, w który wsiąkła krew z ran, aby był żywym symbolem. A takim symbolem jest każda gruda tej ziemi...

Po oddaniu czci już nie wspominali o katuszach, udrękach, grobach, już nie istniała wojna ze swoimi okrucieństwami, ani okupacja. Już wszyscy żyliśmy przyszłością i troską o Polskę. Już ani razu nie zadrgał żal, nie zabrzmiała rozpacz czy zwątpienie. Zdawało się, że mówimy: musimy się odgrodzić od czasów zatrutych boleścią, przesiąkniętych łzami, bo na mogiłach nikt nie buduje życia, nikt nie zasiewa zboża, dającego chleb. Wśród szubienic i pod murami wyrastają legendy kwitnące poezją, ożywione krwią rozstrzelanych, abyśmy je czcili, ale nie żyli nimi. Źdźbło wyrasta z użyźnionej gleby, ale ziarno nic nie ma wspólnego z nawozem, choć nim się karmi; tak nasze uczucia, myśli, słowa nie mają nic wspólnego z boleścią, chociaż wyrastają z serc i ziemi zbroczonej krwią bohaterów i męczenników.

Żyje w nas niezłomna wiara: Polska musi powstać, a będzie ona potęgą wszystkich twórczych warstw. Kres tej wojny już bliski. Tragiczne lata, brzemienne w wypadki, przyniosą przemianę w dobrem, co zgniłe odpadło, co spróchniałe w proch się rozsypało. Musi powstać nowy świat, oparty na sprawiedliwości, na zniweczeniu krzywdy. Ten świat rodzi się może wbrew woli żyjących, którzy w zaślepieniu nie chcą widzieć tego, co się poczyna w podziemiach, co rośnie, aż jednego dnia wybuchnie jak płomienie pożaru. Musi się dokonać przemiana w nas wszystkich, jeżeli narody i ludzkość ma żyć w radości, zbrataniu i szczęściu, a nie konać duszona rękami milionów oszalałych w nienawiści. Wieś musi też czynami swoimi okazać, czym Polska. W zgodzie iść do wspólnego celu. Pogasić nienawiść, zniweczyć to, co jątrzy, rozdziela. Wyrabiać jednolity typ człowieka. Najstraszliwszą niewolą naszą jest bierność i ciemnota, które trzeba wykorzenić. Spalić te odwieczne legowiska, aby się na nich już nigdy nie rodził brat skrzywdzony, puste miski napełnić pożywnym jedzeniem, aby one mogły karmić silne pokolenie, pracujące z pożytkiem, a w weselu dla narodu. Trzeba wyrwać wieś z tego, w co wrosła, w czym tkwi od wieków. Czekają nas wielkie zadania. Któż je wykona? Czy warstwy dawniej przodujące, zdegenerowane, żyjące poza nawiasem wielkich porywów i przetrawiające przeszłość. Ta warstwa, tak obecnie sparszywiała, z niewielu szlachetnymi wyjątkami, to próchno obleczone w jedwab, szczycące się karabelą, już tylko okazywaną przy stole biesiadnym lub w kościele, w czasie podniesienia. Najwięcej sił ukrytych w duszy wsi jeszcze uśpionej, przywalonej gruzami błędów, przywar, przesądów. Jednakże te siły, tę twórczą moc trzeba odgrzebać, wyzwolić, aby stała się miazgą dla wiekowych dębów geniuszu narodu, tworzywem wielkich dzieł. Odrodzenie chłopa, uspołecznienie go, uczyni go obywatelem kraju, narodu, ludzkości. Wieś musi rozpocząć nowe życie dla życia Polski. Trzeba wciąż kształtować, przygotowywać, wychowywać do czekających zadań, trzeba wiązać z ojczyzną węzłami miłości i spełnionych dla jej dobra obowiązków. Przemiana musi się dokonać na wsi polskiej, zła na dobre, nędzy na dobrobyt, ubóstwa na bogactwo, mroków na jasność, bo tego wymaga skołatany naród, poranione państwo, jego potęga i niezależność. Dźwigać chłopa z obecnego stanu, przekształcać go, ale bez gwałtu uprzywilejowanej jednostki nieraz niezgodnej i zbrodniczej. Pod jednym jednak przymusem wszystko należy czynić, a to pod przymusem miłości człowieka i miłości ojczyzny. Jeden gwałt musimy uznać, a to gwałt ofiary wobec narodu, będącej jeno spełnieniem obowiązków. Pycha nie jest wyrazem potęgi. Nienawiść nigdy nie wznosi trwałych budowli dla dobra ludzkości. Władza człowieka nad człowiekiem, jeżeli musi istnieć, to niech wynika z nakazu służenia społeczeństwu, tej ziemi i bronienia jej. Serca nasze są grudami tej ziemi. Z grud ziemi rośnie chleb, z grud serc rośnie miłość. Więc dzielmy się tym chlebem w słońcu miłości. Wieś będzie fundamentem Polski, ten fundament powinien być zdrowy, z mocy dębowej, aby mógł udźwigać wielkość przyszłości. Klasy dotychczas rządzące i posiadające nie chciały tego pojąć, że zmarnowany chłop, to zmarnowana dola ojczyzny, że potęga ojczyzny wyrasta na wolności obywatela. Powiększać dusze wolnego obywatela, to powiększać dusze narodu.

W świetlicy, pod znakiem spółdzielczym, pod nakazami Orkana, jawił się chłop, który odrzucił widły, znak pańszczyźnianej zemsty, potargał i odrzucił łachmany, w które go wieki ubrały, a stanął przed narodem obywatel świadomy swych celów i wartości, chcący oddać nieprzebrane bogactwo swoje na użytek ogółu. Dotychczasowy chłop nie był synem, ale pasierbem poniewieranym, gnębionym, pogardzanym, wyzyskiwanym lub nędzarzem pozbawionym praw i zdychającym pod progiem domostwa polskiego. Dzisiaj na całą Polskę woła: wolny obywatel jest największym dobrem Ojczyzny.

W ciągu godzin, spędzonych wśród czterech ścian, kwitnących tęczowymi barwami, pod wiązanką kwiatów płonących czerwienią i bielą panował podniosły nastrój, niezmącony niczym, bo nawet nie padał cień grozy od słowa: okupant.

Przez okno było widać surowy złom granitu i napis, wyciosany w jego twardości, a poza nim widniały zarysy miasta, będącego symbolem wiekuistości polskiego życia. Niebo było z polskiego błękitu, słońce było z polskiej jasności, więc też serca wszystkich uczestników były błękitne, oczy wszystkich były jasne, wpatrujące się w jutro idące krokami śpiesznymi ku nam, aby zwiastować ucieleśnienie tęsknot i pragnień.

HANNA MALEWSKA

Paryż 1938-39

Wrzesień 1938 roku w Paryżu był prawdziwym preludium wojny — o napreżeniu i nastroju tych dni w Polsce nie miano wówczas pojęcia.

Społeczeństwo polskie poniekąd wyczuwało nieuchronność wojny, ale szło ku niej z jakimś buńczucznym „będzie co będzie", z brawurą, a od kwietnia 1939 z wiarą w „wyjątkowo dla nas pomyślną koniukturę międzynarodową".

Po powrocie odczułam zaraz zaraźliwość tego nastroju.

Ale we wrześniu 38 roku w zaciekawionym, struchlałym i zdeterminowanym Paryżu przedmonachijskim wiedziało się i czuło zupełnie co innego. Była tam świadomość zbliżającej się wszechświatowej katastrofy, kataklizmu grożącego zagładą temu światu, kochanemu przez nas, w którym Paryż był drugą ojczyzną; międzynarodowa stolica tego świata leżała właśnie nad Sekwaną, rozwidlonymi ramionami obejmującą starą Cité.

Suche komunikaty cedziły słowa, które razem nic co innego oznaczały, jak to, że Niemcy hitlerowskie czują się już dojrzałe do opanowania Europy. Paryż, ciemny, posępny, drżał, ale z rezygnacją gotował się na „sac au dos". Trzy razy dziennie walczono o gazety. Do późna w noc wyczekiwano komunikatów w kawiarniach, na ulicach. A potem „Aux deux Magots" u stóp 8-iowiekowej wieży St. Germain des Prés przeciągaliśmy jeszcze w sposób nieograniczony nasze „długie nocne rodaków rozmowy". Gdziekolwiek się było, nowego przybysza witały wszystkie spojrzenia: czy pierwszym jego słowem nie będzie: — Ça y est! Mobilizacja powszechna!

Pamiętam, że wziąwszy (na wszelki wypadek) wizę w konsulacie niemieckim — elegancki urzędnik, typ wojskowy, wyglądał na najbardziej niewzruszonego człowieka w całym Paryżu — poszłam jeszcze do Muzeum Wojska. Bileterka płakała: ktoś z bliskich powołany. Gazety drukowały już wielkie, czasem zaprawne gorączkowym, zaraźliwym w takich warunkach humorem korespondencje „Parigot à la ligne Maginot". Młody żołnierzyk powołany dopytuje się podobno: — Czy aby się tam zmieszczę? „Il parait que c'est plein à craquer". Nieszczęsna linia Maginota! Tak, dla Francuza wojna oznaczała: wpakować się tam pod ziemię i czekać co będzie.

Naraz — krok bez precedensu w dyplomacji — stary Chamberlain frunął w odwiedziny do Hitlera. Wieczorem pochód — chyba zorganizowany przez „Humanité" — skandują: A — bas — Hi — tler. Ale to grupka. Większości Paryżan aż dech zaparło z nadziei.

Monachium —

O Czechosłowacji już głucho. Niepohamowana, bezwstydna ulga. Pamiętam felieton Colette nazajutrz, dający się streścić mniej więcej w ten sposób, że znów zaświeciło słońce, że znów ptaki ćwierkają w Tuileriach i t. p. Daladier powracający witany był jak zbawca ojczyzny. Trzeba jednak przyznać, że zawsze niewesołe oblicze „byka z Camargue", jak go nazywał bulwarowy „Match", niewyczerpany w epitetach, ukazywało się na dodatkach filmowych jeszcze bardziej posępne. Tymczasem Rada Miejska w dalszym ciągu zaciemnia ulice — podejrzewamy oszczędności na prądzie. Ale już „Le Journal" rozpisuje powszechną subskrybcję na dar narodowy dla naczelnego zbawcy Chamberlaina ...idylliczny „domek pokoju", z ogródkiem, nad Sekwaną. Odzew entuzjastyczny.

Nareszcie jednak przychodzi pewne otrzeźwienie.

Jesień przynosi serię odczytów wybitnych osobistości, zwłaszcza pisarzy, w których przewodnim motywem jest ocena sytuacji, roli, jaką Francja odegrała i ma odegrać.

Monthérlant, lubownik areny (dziś jedno z czołowych nazwisk na liście kollaboracjonistów), mówi nam z pasją i obrzydzeniem o braku tężyzny francuskiej. Co nas uderza, gdy przekraczamy w powrotnej drodze granicę włoską lub hiszpańską, to obmierzła „fadeur" na twarzach. Pewien Anglik wyraził się (i o to dlatego poszli na Monachium), że „Francuzi dzisiejsi nie są ludźmi, z którymi można się wybierać na tygrysa". Szczupły, młody człowiek z pasją rzuca na salę pełną intelektualistów (oto przed nami łysa czaszka André Gide'a) inwektywy pod adresem narodu „żurnalistów, akademików, chrześcijan"... Ostatecznie — nie na żart zasmakował w tężyźnie hitlerowskiej!

Spokojnie rozwija swoje myśli wytworny Jules Romains, wspaniały mówca, a wedle powszechnego mniemania „Egeria premiera Daladier". Mówi, że Francja przejrzała się w Monachium jak w zwierciadle i zobaczyła — pasmo siwych włosów. „Ale oto już za Ludwika XV w Europie kiwano głowami nad naszą zgrzybiałością, a od tego czasu, bądź co bądź, Rewolucja, Napoleon..." Tym mniej pora na rachunek sumienia. I wybór drogi. Cóż radzi pan Jules Romains? Wyrzucić się z matni spraw środkowo - europejskich. Mogą nas tylko kosztować nie dając nic wzamian. „Przypominam państwu, że nie tak dawno pozwalano sobie wmawiać w nas, że granica Francji nie jest nad Renem lecz nad Wisłą"... dyskretny śmiech na sali, efekt osiągnięty. A ostatecznie bliższa przecież koszula ciału... Cóż tedy Francji pozostaje? (tytuł całego odczytu brzmiał: La chance qui nous reste). Pozostaje polityka imperialna. Wykorzystać nareszcie posiadłości kolonialne i w tym kierunku obrócić wszystkie siły.

Było to hasło dnia. Jedźcie do Algeru. Jedźcie do Indochin. Realizujcie naprawdę Imperium. Młody Jean Daladier, syn premiera, został przewodniczącym Ligi Imperialnej młodzieży. Francja spoglądała czule ku rzeczywiście mimal nieznanemu jej dotąd własnemu imperium — odwracając się od spraw europejskich, które po wrześniu zostawiły jej kompleks strachu i wstydu.

Nie wszyscy jednak to czynili i do tego stopnia zaślepiali się. Jeszcze jeden odczyt — Maritain'a. Twarz nie wesoła, ale zdecydowana, nad nią stalowy błysk siwizny. Ten mówi o groźbie hitleryzmu, niechronnej i nie do zignorowania. Rzuca przy tym myśl, że sytuacja ideowa Europy wymaga od Francji i ofiarowuje jej nowe przymierze: „oś Francja—Kościół" — w obliczu faktu, że i Francja i Kościół odrzucają bezkompromisowo totalizm i rasizm.

Jules Romains podczas okupacji zajął pozę „niewyraźne stanowisko". Maritain — nie inaczej jak bliscy mu duchem Bernanos,

Mauriac ani na godzinę nie zmienił swego przedwojennego i całożyciowego wyboru. Dziś, jakby w realizacji ówczesnych swoich słów, jest Maritain ambasadorem Francji w Watykanie.

Tymczasem jednak, mimo groźnych znaków na niebie i ziemi życie Paryża biło zwykłym, żywym tętnem. Przywodzę dziś sobie na pamięć jako sprawę odległą, lecz nie bez znaczenia, ostatni, dość charakterystyczny sezon teatralny i literacki pokojowego Paryża.

Zimą 38—39 roku szły jak zwykle między innymi sztuki z pogranicza cyrku — pamiętam moje zdumienie, gdy przez bite sześć miesięcy figurowało na afiszu wielkiego teatru Chatelet „W 80 dni naokoło świata" według Jules Verne'a — dalej sztuki zdecydowanie pornograficzne, ze szczególnym w tym sezonie doborem wszelkich zboczeń (któreś z pism urządziło ankietę wśród żon literatów: czy pani pójdzie z synem na ostatnią rzecz Cocteau?) — obok sztuk katolickich (Pierwszy legion, Asmodeusz), Comédie Française zaś zmontowała Cyrana de Bergerac, który miał wielki sukces. W recenzjach podkreślano z otuchą, jako dowód tężyzny młodzieży, że studenci stali po bilety na to w długim ogonku na mrozie (rzeczywiście była to w Paryżu najmroźniejsza zima od 10 lat). Cyrano — w epoce prapremiery ktoś nazwał tę sztukę „fanfarą czerwonych spodni" — miał być pewnego rodzaju odtrutką na — kompleks monachijski. Niestety jednak odtwórca głównej roli miał wprawdzie dykcję godną „domu Moliera", ale niewiele pasji gaskońskiej. Przypomniał mi się Cyrano w teatrze szkolnym w Lublinie — przedsięwzięcie trzeba przyznać śmiałe — grany mniej umiejętnie, ale z jaką werwą przez 19-letniego chyba wówczas Józefa Łobodowskiego.

Nagrody literackie 38 roku także odzwierciadlały epokę. Goncourty przypadły młodemu Troyat za jedną z tych typowo schyłkowych książek, które się czytało kiwając głową: ma talent, ale kiedyż nareszcie przestaną babrać się w tym wszystkim... Natomiast Akademia przyznała jedną z nagród wielkiemu i niezwykłemu dziełu lotnika-kaleki z 18 roku Jacques d'Arnoux „Siedem kolumn heroizmu". Przyniosła też ta zima nową falę zainteresowania Karolem Péguy. L. Gillet wyraził się, że Péguy w naszych czasach staje się dla francuskich ludzi pióra przeciwnym biegunem krystalizacyjnym — Marcelego Prousta. Istotnie piewca Joanny d'Arc to przeciwieństwo ironicznego lecz zahipnotyzowanego piewcy Guermentes'ów. Już sam rytm prozy, u Prousta jakby rozwijanej misternie, rozsupływanej z kłębka, tu rąbanej z chłopska — zapowiada inny świat. Bodaj w grudniu 44 wmurowano uroczyście tablicę w domu, gdzie Péguy drukował swoje „zeszyty". Jego twórczość jednak, trzeba to powiedzieć, nigdy nie będzie popularna. To pisarz elity. Jakiej? Zaciekły obrońca Dreyfusa nie nadaje się na patrona żadnej formy totalizmu. Jego natchnienie bije z głębokich złóż narodowych i ludowych, ze zdrowej duchowości ludu francuskiego z czasów przed powszechną inwazją pieniądza (kapitalizm nie miał może wymowniejszego wroga). Péguy to także zdeklarowany wróg maurrasowskiej „politique d'abord". Obrońca wyższości konieczności ludzkich, konieczności ducha nad koniecznościami politycznymi. Podczas okupacji zainteresowanie jego twórczością nie osłabło, raczej wzrosło jeszcze. Nic dziwnego. Nigdzie może w literaturze nie znajdziemy wspanialszych i głębszych słów n a d z i e i. Porucznik Péguy, poległy w pierwszych dniach poprzedniej wojny, napewno nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Wróci dziś na pamięć choćby przez to podzwonne, które w przeczuciu nadchodzących chwil napisał setkom tysięcy poległych rodaków.

„Heureux ceux qui sont morts dans une juste guerre..."

WŁ. MILCZAREK

TRZMIEL

Jestem odpryskiem słońca,
akordem letniej melodii —
świtów różowych gońcem,
pachnącą smugą miodu...

Tęsknotą wszystkich kwiatów,
poetą łąk, ogrodów,
skrzypiec najcichszą nutą,
a imię moje słodycz...

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Jasna Polana w świetle dnia dzisiejszego

Na południe od miasta Tuły, w odległości 15 klm. położona jest Jasna Polana, jeden z najpiękniejszych zakątków środkowej Rosji, który od blisko lat osiemdziesięciu był celem pielgrzymek ludzi wszystkich warstw społecznych i różnych narodowości. Tu, wśród brzóz i wiekowych lip starodawnego parku, w domu, gdzie urodził się w r. 1828 Leon Tołstoj, znajduje się obecnie muzeum poświęcone pamięci wielkiego pisarza ziemi rosyjskiej. A w pobliskim lesie spoczywa on sam w mogile bez pomnika i bez napisu.

Sąsiedztwo grobu pozornie bezimiennego z imponującym mauzoleum, jakim stało się domostwo zabytkowe, czyż nie wymowny to obraz rozdwojenia czynu i myśli, które ciążyły na całym długim życiu znakomitego pisarza-moralisty?

Biografowie przepoławiają zazwyczaj ten wspaniały żywot, prowadząc konwencjonalną linię demarkacyjną przez lata siedemdziesiąte zeszłego stulecia, kiedy to ostatecznie dokonał się w Tołstoju przewrót duchowy, opisany przez niego w słynnej „Spowiedzi". Więc okres pierwszy, obejmujący w przybliżeniu dwadzieścia pięć lat pracy pisarskiej Tołstoja, uważa się już tradycyjnie za epokę artystyczną, podczas gdy w drugim okresie ustalono wybitne cechy apostolstwa etycznego. Jasną jest jednak rzeczą, że podział ten może być oparty tylko na kolejnej przewadze wymienionych cech, bo właśnie do psychiki Tołstoja znakomicie daje się zastosować powiedzenie francuskie „plus ça change, plus c'est la même chose".



Z okazji 35-ej rocznicy śmierci Leona Tołstoja przy popiersiu wielkiego pisarza zebrali się w Jasnej Polanie jego żona, dzieci i wnuki.

Większość utworów Tołstoja, nie wyłączając mistrzowskich obrazów przeszłości narodowej lub współczesnego mu społeczeństwa, jakimi są arcydzieła „Wojna i pokój", „Anna Karenina", „Kozacy" i in., zawiera mnóstwo wypowiedzi świadczących o nieustannym procesie samoanalizy i stałym dążeniu do uzewnętrznienia jego wyników. Z pierwszej autobiografii, zatytułowanej „Dzieciństwo, Lata chłopięce, Młodość", dowiaduje się czytelnik, że jako chłopiec szukał już Tołstoj odpowiedzi na „przeklęte" pytania o sensie życia, tak charakterystyczne dla przedrewolucyjnej psychiki rosyjskiej. Przebieg ewolucji duchowej, która od tych pierwocin analitycznych miała go doprowadzić do frenetycznego samobiczowania „Sonaty Kreutzerowej", przedstawił Tołstoj we wspomnianej przed chwilą „Spowiedzi".

Opowiada więc przede wszystkim o dziesięciu latach pierwszej swej młodości: „Kłamstwo, złodziejstwo, nierząd we wszelkich odmianach, pijaństwo, gwałt, morderstwo... Nie było zbrodni, której bym nie popełnił, i za to wszystko chwalono mnie, rówieśnicy uważali mnie i uważają za stosunkowo moralnego człowieka".

Jest to ciężkie oskarżenie rzucone obłudnemu społeczeństwu, albowiem zbrodnie, z których się spowiada Leon Tołstoj, są zwykłymi postępkami młodego światowca, usankcjonowanymi przez ówczesny kodeks honorowy i towarzyski.

Nie oszczędza też swych kolegów po fachu, literatów, z którymi nawiązał kontakt w wieku lat 26, po powrocie z wojny Krymskiej. Utrwalił się, powiada, pogląd, że życie postępuje naprzód i że w tym rozwoju ludzie myśli biorą największy udział, a spośród ludzi myśli my — artyści, poeci— najważniejszą mamy rolę. „Byliśmy wówczas przekonani, że trzeba mówić i mówić, pisać, drukować, jak najprędzej, jak najwięcej... dla dobra ludzkości".

Osaczają Tołstoja poważne wątpliwości. Głównym powodem do zwątpienia była niezgoda panująca w kołach literackich. „Negując, lżąc jeden drugiego, drukowaliśmy, pisali, pouczali innych. I nie spostrzegając tego, że nic nie wiemy sami, że na najprostsze pytanie, co jest dobre, co złe — nie umiemy odpowiedzieć, wszyscyśmy gadali na przebój, przytakując sobie czasem i chwaląc siebie nawzajem (by mnie przytakiwano i mnie pochwalono), czasem zaś irytując się... Istny dom wariatów!".

Podróż zagranicę nie wniosła pozytywnych wartości do światopoglądu Tołstoja. Odwrotnie, widok publicznej egzekucji w Paryżu, z przejmującym stuknięciem ściętej głowy o dno skrzyni, zachwiał jeszcze bardziej jego wiarę w postęp. Nie dała mu również zadowolenia działalność u siebie na wsi, w rok po uwłaszczeniu chłopów, kiedy to założył w Jasnej Polanie wzorową szkołę. Udane małżeństwo, po powrocie z drugiej jałowej wycieczki do obcych krajów, i bujny rozkwit talentu pisarskiego stworzyły szczęśliwą dywersję w jego stanie ducha.

Ale nie na długo. Coraz częściej, myśląc o sprawach gospodarczych, o wychowaniu syna, stawiał sobie pytanie „Poco?" Innym razem mówił do siebie: „Więc dobrze, będziesz bardziej sławny niż Gogol,Puszkin, Szekspir, Molier, niż wszyscy pisarze świata, — no, i cóż z tego?"

I poczuł nagle, że zapadł się pod nim grunt, że nie ma c z y m żyć.

Nie skończył jeszcze pięćdziesiątki, miał kochaną i kochającą żonę, dobre dzieci, duży, stale powiększający się majątek, szacunek ludzki i sławę. Lecz naukowcy i filozofowie wszystkich czasów i narodowości nie potrafili mu wyjaśnić stosunku rzeczy skończonych do nieskończoności. Uporczywa ta myśl o mało nie doprowadziła go do samobójstwa. Wówczas narzuciła mu się imperatywnie potrzeba wzniecenia w sobie jakiejś wiary, na pustym miejscu, które pozostało po zburzonej w szesnastym roku życia nauce kościelnej. Zaczął zbliżać się do prostych ludzi, pątników, mnichów, odszczepieńców, do ludu robotniczego, do chłopów. Zdawało mu się, że znajdzie prawdę, gdy się upokorzy i przyjmie dobrowolnie wiarę maluczkich wraz z obrzędowością.

Zazdrościł im analfabetyzmu. I nie bez powodu, bo samo obcowanie z ludźmi nieuczonymi i formalne ich naśladowanie nie mogło stępić ostrza jego badawczej myśli. Doszedł więc wkrótce do wniosku, że w Piśmie Świętym zawarte są zarówno prawda, jak fałsz. Odrzucając to co uważał za fałsz i zabobon, naraził się cerkwi, rozwijając zaś konsekwentnie pierwotne zasady chrześcijańskie, wchodził w konflikt z państwem, które wysyła poddanych na wojnę, sankcjonuje więc zabójstwo. Zwracając się wreszcie do Mikołaja II z radą, by zlikwidował własność prywatną, wywołał protest własnej rodziny. Został ekskomunikowany, dzieła jego ulegały konfiskacie, żona, przyjaciel zawsze dotąd wierny i oddany, wszczyna zabiegi o roztoczenie kurateli nad majątkiem rodzinnym.

Mogło by się wydać na podstawie tych doniosłych faktów i wstrząsających zwierzeń Tołstoja, że życie jego układało się na kształt ponurej tragedii. A jednak nie było tak w istocie. Tołstoj jest pod każdym względem „wybrańcem Fortuny". Tak dalece, że jeśli z jednej strony osiągnięcia Tołstoja-artysty zdobywają posłuch teoriom Tołstoja-moralisty, to z drugiej strony przejęcie się społeczeństwa jego wypowiedziami, częstokroć ekscentrycznymi, utorowało niewątpliwie arcydziełom artystycznym drogę do sławy znacznie prędzej, aniżeli by to miało miejsce w innych warunkach.

Zerwanie z życiem swej sfery, jej pasożytnictwem, mniej było ostateczne, niż by się tego spodziewał czytelnik Tołstoja. Mam w żywej pamięci gabinet pisarza, jakim go utrwalił na płótnie znakomity malarz Riepin, — jakim go znali niezliczeni artyści, literaci, naukowcy, działacze społeczni i polityczni, rzesze inteligentów i ludzi różnych stanów. Lecz ten dawny spichlerz z niemalowaną podłogą, o grubych murach i arkadowym sklepieniu, — pokój, gdzie kosa, łopata, piła i inne narzędzia rolnicze bądź rzemieślnicze nadają swoisty charakter prymitywnemu umeblowaniu, był zacisznym zakątkiem, sanktuarium dostatniego domu jasnopolańskiego, prowadzonego z wytworną prostotą przez energiczną żonę Tołstoja Zofię Andrzejównę.

Pamiętnikarze i inni naoczni świadkowie zgadzają się w podziwie dla kulinarnej inwencji skrzętnej gospodyni, która doprowadziła wegetariańskie potrawy spożywane przez Leona Tołstoja do niebywałego wyrafinowania. Za jej to sprawą również odzież noszona przez pisarza, na pozór prosta — te bluzy w zimie miękkie flanelowe, w lecie swobodne, chłodzące, i jego wyperfumowana bielizna — była taka wygodna i przyjemna. Ona też odkłada na bok każdą pracę, by przepisywać niezliczoną ilość razy utwory wielkiego męża, czuwa nieustannie nad tym niesfornym starym dzieckiem. Goście co bawili w Jasnej Polanie w różnych okresach świadczą jednogłośnie, że panowała tam pogoda i wesołość, promieniująca z samego Leona Mikołajewicza, jak z potężnego źródła światłości.

Był nieodzownym uczestnikiem partyj krokietowych, tenisowych, gimnastykował się, biegał z chłopcami na wyścigi. Nadto orał lub kosił razem z wieśniakami. I wszystkie te ćwiczenia cielesne wychodziły mu na zdrowie, i wszystkie składały się na wieczne święto, bo ta orka, bądź nieprzymuszony udział w żniwach, były mimo poważnych intencyj zabawą, czymś co sąsiedni chłopi przyjmowali z zagadkowym uśmiechem, jako pracę „na niby".

Po uważnym zbadaniu teoryj Tołstoja można dojść do wniosku, że punktem ich wyjścia jest pewna osobliwa postać bajronizmu, — spóźnione echo owego mal du siècle, co grasował na początku XIX wieku. Od „noszenia serca na temblaku", wybawił go zdrowy instynkt samozachowawczy, każąc mu szukać ratunku we własnej konstrukcji filozoficznej, która dawała złudne usprawiedliwienie jego ziemskiego bytu. Rozczarowanie się w wynikach wiedzy ścisłej doprowadziło Tołstoja do propagandy Rousseau'izmu, powrotu do natury, sprostaczenia. Dążenie to, powstałe z przyczyn subiektywnych, żadną miarą nie odpowiadało prawdziwym potrzebom ludzkości i było z gruntu wsteczne, niezgodne z postępową częścią światopoglądu Tołstoja.

W świetle doby dzisiejszej widzimy wyraźnie zasadniczy błąd teorii Tołstoja, propagującej niwelację kulturową społeczeństwa do poziomu niższego, za pomocą wyrzeczenia się zdobyczy cywilizacji, podczas gdy wyrównanie właściwe wyniknie oczywista z rozprowadzenia osiągnięć kultury i sztuki w szerokich masach. Doktryna Tołstoja, pragnącego oprzeć stosunki ludzkie wyłącznie na miłości bliźniego, oraz wszystkie skrajności pozytywne i negatywne wyprowadzone przez niego z żelazną konsekwencją z podstawowego założenia. są zrodzone przez umysł niesłychanie dociekliwy, o zacięciu dyktatorskim, a jednak są ucieczką od dogłębnego rozwiązania sprawy sensu życia przez dobrowolny udział w odwiecznym dziele cywilizacji, z oparciem moralności na sprawiedliwości społecznej i na harmonii estetyki zewnętrznej z estetyką wewnętrzną, — czemu właśnie winna służyć sztuka.

Tak jak było w kontraście z franciszkańskim obliczem Tołstoja jego oblicze, że tak powiem, dominikańskie, tak był od początku i pozostał do przedostatnich dni rozdźwięk między jego życiem (choćby i zreformowanym) a postulatami własnej teorii. Wydaje mi się, że nie tylko cnoty rodzinne Tołstoja, jego przywiązanie do bliskich, stały na przeszkodzie ku realizacji zakreślonego przez myśliciela dla jednostki planu postępowania. Ważniejszą przeszkodą może była świadomość groteskowości sytuacji, w jakiej by się znalazł sławny pisarz hr. Tołstoj, gdyby się zamienił w pątnika lub anachoretę, bądź po prostu członka gromady wiejskiej. Pędzenie świętobliwego żywota na średniowieczną modłę w nowoczesnym społeczeństwie kapitalistycznym było zgoła nie do pomyślenia. Z tego względu potajemne opuszczenie przez Tołstoja domu rodzinnego w dniu 9 listopada 1910 r., po którym nastąpiła niebawem śmierć na odludnej stacyjce, ma znaczenie raczej symboliczne.

Nie pomniejsza to, rzecz prosta, olbrzymiej wagi twórczości Tołstoja-artysty i nie odbiera wartości jego humanitarnej nauce, która znalazła wielu wyznawców i przyczyniła się do pohamowania na. pewien czas instynktów zwierzęcych potęgowanych przez wzmagającą się na przeludnionej kuli ziemskiej walkę o byt.

Rozdwojenie w życiu wielkiego pisarza było niewątpliwie wynikiem nienormalnych warunków politycznych i społecznych, w jakich żyła ówczesna Rosja, gdzie szerokie masy ludowe nie miały udziału w dobrodziejstwach kultury nowoczesnej.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

SIÓDMY BATALION

Nazywaliśmy go „siódmym" w odróżnieniu od sześciu batalionów, podlegających regulaminowi obozowemu i zaprowiantowanych przez Oberkommando der Wehrmacht. Ludzie z siódmego batalionu byli poza nawiasem życia.

Co prawda t. zw. „m. p." — miejsce postoju — siódmego graniczyło z prawym skrzydłem trzeciego batalionu, jednak łączność, w ścisłym znaczeniu tego słowa, istniała tylko teoretycznie, w praktyce była wieczna, nieregulaminowa próżnia. Dwa pułki — „Ost" i „West", czyli inaczej sześć kwadratów w prostokącie obwarowanym dookoła wszelką możliwą kombinacją drzewa i drutu kolczastego, siecią skomplikowanego systemu alarmowego, gniazdami karabinów maszynowych, śledzonych od zmierzchu do świtu ślepiami reflektorów, wachmanów i psów policyjnych — to było nasze m. p. Natomiast m. p. „tych" z siódmego batalionu było poza nami, poza wszelkimi środkami ostrożności! Mały kwadracik przylepiony do południowo - wschodniego cypla wielkiego prostokąta rządził się po swojemu, według praw jednostek elitarnych, względnie detaszowanych.

Terytorium tej szumnie nazwanej jednostki, nie przewyższającej liczbowo zwykłego plutonu piechoty, cieszyło się swego rodzaju autonomią! Nie było tam rewizji ani szykan, nie przeprowadzano tam apeli kontrolnych czy mundurowych: ludzie z siódmego batalionu cieszyli się specjalnymi względami u Niemców — był to bowiem cmentarz. W chwilach ciężkiej depresji duchowej, kiedy zdawało się nam, że Woldenberg na długie jeszcze lata będzie figurował na mapach angielskich Royal Air Forces jako „Oflag II C", zwracaliśmy niejednokrotnie oczy na siódmy batalion. Mówiło się u nas z wisielczym humorem: droga na wolność prowadzi przez siódmy batalion. To był jedyny sposób wyjścia poza druty, tolerowany przez niemieckiego komendanta obozu. Ta „wolnościowa" furtka otwierała się na każde życzenie; wielu z niej korzystało dobrowolnie, jednak większość żołnierzy z sześciu batalionów bała się jak ognia tego przydziału wbrew woli — przydziału ostatecznego.

W magazynie obozowym stało zawsze w rezerwie 10 trumien „für Kandidaten zum Siebenten Batalion", a na piaszczystej przestrzeni, przylegającej do obozu, wytyczono zawczasu linie przyszłych mogił. Jednak, wbrew rachubom niemieckim, pole cmentarne leżało długi czas odłogiem. Kilka drewnianych krzyżyków nie zadowalało prawdopodobnie Niemców, którzy w marzeniach swych widzieli tam kompletny batalion mogił, ustawionych w pośmiertnym porządku — „Militärordnung" obowiązywał wszędzie.

W lutym 1943 r. major Dworzak — jeden z obozowych katów — postanowił zwiększyć stan siódmego batalionu. Tę przymusową mobilizację przeprowadzono nagle, nieoczekiwanie, można powiedzieć w biały dzień.

Zaczęło się w rejonie pułku „West". Nad obozem wisiało wtedy jasne mroźne niebo, podparte gdzieś daleką, zarysowaną wyraźnie, granatową, linią lasów... W odrutowanym prostokącie spacerowało kilka tysięcy ludzi z sześciu batalionów. I nagle w tę ciszę tłumu, który dziś wyjątkowo był milczący, uderzono echem karabinowych wystrzałów. Ze wszystkich wież strażniczych przemówiły milczące od lat ciężkie karabiny maszynowe. Poczęły pośpiesznie, zachłystując się chwilami, fastrygować, zwijać, ciąć na strzępy kolumny bezbronnych ludzi. A zza murów świetlic obozowych odszczekiwały się ukryte tam w zasadzce automaty, które jak psy gończe z uporem ścigały uciekające grupki lub pojedynczych ludzi. I wtedy to w dwudziestu pięciu barakach jenieckich wezbrała nagle taka straszna nienawiść, której kropelka wystarczyłaby do wytrucia całego narodu niemieckiego. Jeśli ten zabójczy ładunek nienawiści nie wybuchł, to tylko dlatego, że chęć życia w połączeniu z tęsknotą za Ojczyzną była silniejsza od wszystkich zmysłów.

Wieczór w tym dniu dogasał powoli. Jazgot karabinów cichł i rozpływał się w mroźnym powietrzu. Wtedy to z siódmego batalionu wypełzła straszna lodowata cisza i zaczęła węszyć po zaułkach i obozowych placach. Wzmagał się mróz, trzeszczący, ostry jak szkło. W odrutowanym prostokącie było pusto. Na zaśnieżonych placach zbiórek zostało kilkunastu ludzi, którzy z szaleńczym uporem odpychali od siebie widmo napływającej z lasów nocy.

Dwóch z nich wyprowadziliśmy później z paradą na „wolność", reszta ciężko rannych, będących o krok od bram siódmego batalionu, wylizała się z ciężkich postrzałów wbrew niemieckim rachubom.

Stan siódmego batalionu powiększany był nieznacznie, ale stale, z niemiecką systematycznością. Nigdy nie wiedzieliśmy, kogo powołają w szeregi tej znienawidzonej, lecz wielce szanowanej przez nas, jednostki. Ci, którym wróżono siódmy batalion, trzymali się twardo i hardo, kpiąc z wszelkich przepowiedni. Inni natomiast gaśli nieoczekiwanie w kwiecie życia. I tych było najwięcej. Pamiętam, gdzieś z początkiem wiosny 1944 r. wydarzyło się jakieś nieszczęście Mietkowi Skulskiemu. Chłopak był zdrów, wesół, pokpiwał sobie z kandydatów do „siódemki", aż tu raptem podczas obiadu chlusnęła mu krew ustami. Ułożyliśmy go na ławie. Patrzył na nas oczami, które zapadły się nagle w głąb czaszki. Wiedzieliśmy, że to koniec, że na to nie ma ratunku. Mietek jednak umierać nie chciał. Ten muzykant, wynalazca, „chłopak z głową do wszystkiego" trzymał się kurczowo ostatniej deski ratunku. Radosny ładunek siły witalnej trzymał go jeszcze dwa miesiące. Im bliżej była śmierć, tym bardziej wierzył w życie. Utrzymywaliśmy go w tej pewności. Mówiliśmy, że to „choróbsko" szlag wkrótce trafi, że to przecież zwykłe przeziębienie, od którego się nie umiera. I Mietek wierzył, przybywało mu nawet na wadze. I właśnie w tym pocieszającym okresie, kiedy i nam się udzieliło Mietkowe złudzenie, przyszła śmierć. Był maj. Mietek opatulony w koce wylegiwał się na leżaku, żartując i pokpiwając z nas, że stypy nie będzie, że on gwiżdże na siódmy batalion — batalion frajerów i „leśnych dziadków" — tak nazywaliśmy kolegów w podeszłym wieku. Uśmiaaliśmy się jak nigdy. W dniu tym Miecio Skulski, młody podporucznik z Lublina, po raz ostatni oglądał jasnozielone kiście brzóz w alei na „Hauptstrasse". Jeszcze w ostatniej minucie agonii, poprzez straszne spazmy krwotoku, przebijały się ciche słowa wiary w życie.

Mietek nie był ostatni. Podobnie umarło wielu innych, którym daleko było jeszcze do trzydziestki. Niektórzy kończyli samobójstwem, wieszając się lub podcinając żyły zwykłym nożem stołowym, albo ginęli na drutach, które działały na nich jak nagminna straszna choroba.

I tak było ciągle. Terytorium siódmego batalionu powiększało się coraz bardziej. W nas żyjących rodził się lodowaty niepokój, że ten przeklęty „kwadracik" pochłonie wkrótce wszystkich, bo przecież twórzymy dwa połączone naczynia, a to z „siódemki" jest ciągle puste i nienasycone.

Rok rocznie urządzaliśmy tam apel poległych. Sześć żywych batalionów przedzielonych potrójnym płotem drutów kolczastych stało naprzeciw szeregu drewnianych krzyży z siódmego batalionu. Wtedy to cały obóz zamierał, pogrążał się w ciszy, że słychać było nawet odgłosy pojedynczych rozmów dobiegających z pobliskiego miasteczka.

Na wieżach wartowniczych wzmacniano posterunki, a najbliższe karabiny maszynowe sprawowały pilny dozór nad zwartym blokiem sześciu batalionów. Na siódmym batalionie płonęły łojowe kaganki i jaskrawe plamy sztucznych kwiatów. Biało-czerwone wstęgi spływały z ramion krzyży jak sen o Polsce, która miała się kiedyś upomnieć o mogiły swych żołnierzy.

I tak było rokrocznie... Przychodziły słoneczne listopady, podczas których zauważaliśmy, że stan siódmego batalionu powiększa się bardziej, że świerki i topole niekłańskie, które posadziliśmy u mogił kolegów, rosną coraz wyżej i piękniej.

Rok 1945 przywitał nas śnieżną zadymką, która przyniosła aż pod druty obozu daleki odgłos dział. To było nasze przedwiośnie, którego doczekać się nie mogli ci z zaśnieżonych mogił „siódemki". Nastały dni, które toczyły się nad przepaścią i które niejednego pochłonęły, ale już z dala od bram, które przez śmierć prowadziły do wolności. Siódmy batalion pozostał osamotniony i trwa nadal na posterunku, nieczuły na smutki i radości. Dzisiaj często biegnę myślą do mogił tych, których odprowadzałem do bram siódmego batalionu, i wtedy widzę jak przez mgłę twarz Mietka z Lublina, który w najcięższych chwilach mówił, że życie jest jednak piękne. W małym, odrutowanym niegdyś, kwadraciku pośród młodych świerków i topoli zogniskowała się najserdeczniejsza tęsknota za Polską, tutaj pogrzebano najśmielsze nadzieje. Myśląc o tym, szczęśliwy jestem, że właśnie tam do Dobiegniewa, który miał zostać tylko Woldenbergiem, przyszła Polska, by złożyć hołd siódmemu batalionowi, który umierał z myślą o Niej.

JADWIGA RADLIŃSKA

LEŚNA DROGA

(Wyjątek z części końcowej aktu III-go).

Gruby
(Siedzi na pieńku, poziewa sobie kilkakrotnie szeroko, lecz bojąc się zasnąć, śpiewa swoją ulubioną piosenkę):

Ti ram ta rita tidra, tiram ta rita tidra...
(Przestaje śpiewać. Myśli głośno, wyjmuje z kieszeni ołówek i kartkę papieru).

W pierwszych słowach mojego listu donoszę ci... Ci powinno być dużą literą... Jak się osobę uważa, to „ci" dużą literą powinno być... Ale te „w pierwszych słowach mojego listu" do chrzanu... Jeszcze się gotowa obrazić i powie: szkoda, że nie „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. amen..." Puk toby napisał: siostro trzymaj się sztywno, uważaj na łapanki, biuletyny noś w warkoczach...
(Puk staje za plecami i słucha).

Puk
Pytam się ciebie, z jakiej racji masz mnie za osła?

Gruby
(zrywając się).
Niech cię diabli wezmą, chodzisz cicho jak kot...

Puk
Wariat!... Biuletyny noś w warkoczach... Jabym to w liście pisał?

Gruby
Mają pomysły kobiety, nie? Albo ci weźmie taka pani pieska i w paseczku na szyjce przeszwarcuje przez najbardziej niebezpieczne miejsce ważny dokument...

Puk
Kobiety są sprytniejsze od nas.

Gruby
A dlaczego ty nie śpisz?

Puk
(żartobliwie).
Smutno mi bez ciebie. Cicho. Słyszysz, samolot...
(nadsłuchuja: warkot samolotu zbliża się i następnie oddala).

Gruby
Kropnąć by go.

Puk
Nie kropną... Dzisiaj musimy być cicho... Nie mogę się uspokoić, tak myślę i czekam niecierpliwie rezultatu dzisiejszej rozgrywki z esesowcami...

Gruby
Założmy się, czy się powiedzie czy nie...

Puk
Musi się powieść. Chodzi tylko o to, czy porucznik wróci?

Gruby
Porucznik czy major?

Puk
Dlaczego major?... Porucznik.

Gruby
Byłem pewny, że major prowadzi.

Puk
Czy obywatel major rozdwoić się może, jak myślisz?

Gruby
Dlaczego się ma rozdwajać?

Puk
No, proste jak drut... Esesowcy, są tam, a major jest tu...

Gruby
Ba, żeby był tu, toby było proste, ale, właśnie, że go niema.

Puk
Coś, głupi?

Gruby
Jak pragnę zdrowia.

Puk
Widziałeś, jak wychodził?

Gruby
No. Jeszcze mnie się pytał, czy mam tu służbę i że w razie potrzeby o północy będzie z powrotem.

Puk
(zastanawiając się).
A obywatelka Marta?

Gruby
Poszła spać pewnie.

Puk
Taki był dzisiaj inny, niż zwykle...

Gruby
Zdaje ci się, zawsze taki, zakochany.

Puk
A może poszli we dwoje, nie zauważyłeś?

Gruby
Po to tu stoję, żebym wszystko widział, napewno poszedł sam.

Puk
Niedobrze.

Gruby
Dlaczego? (nagle patrząc między drzewa) Stój. Kto idzie?

Głos (z głębi)
Jodła!

Gruby
Hasło!

Głos
Warszawa!
(Gruby opuszcza karabin. Spoza drzew wychodzi por. Jodła, prowadząc zakurzony rower. Gruby i Puk salutują).

Puk (radośnie).
Obywatelu poruczniku, udało się?

Porucznik Jodła
Nie wiem, moi drodzy... prowadzi obywatel major... (odchodzi w głąb obozu).

Gruby
A nie mówiłem.

Puk
(zamyślony).
Niedobrze, niedobrze, że mnie nie ma...
(wychodza).
(z głębi wychodzi Marta z por. Jodłą, ona uszczęśliwiona, on zamyślony).

Marta
Tak znienacka i tak błyskawicznie... Rozmawialiśmy przecie dość długo i niczym nie zdradził zamiaru...

Porucznik Jodła
Przyjechał wprost drogą, rowerem do kapitana Wiesława, spocony, zastał nas gotowych do wyjścia na miejsce. Odwołał mnie. Komendę obejmuję ja, powiedział, uśmiechnął się do mnie jak zwykle i choć bym za nim poszedł na dno piekła posłusznie... zbuntowałem się i nie chciałem ustąpić... zaskoczył mnie tą zmianą rozkazu...

Marta
Czy z ostatniego etapu na miejsce daleko?...

Porucznik Jodła
Blisko. Mnie kazał siadać na rower i wracać natychmiast do obozu. Przyznaję, że serce radowało się...

Marta
(patrząc mu w oczy).
Przeczuwałam, że wrócisz...

Porucznik Jodła
I znowu jesteśmy blisko siebie.
(tulą się do siebie).
(Nagle z głębi obozu dolatuje głos werbla żałobnego. Marta przerażonymi oczyma patrzy na por. Jodłę).
Marto (ciężko, ze smutkiem).

Puk
(wchodząc, staje sztywno, melduje).
Obywatelu poruczniku, kapitan Wiesław dzwonił... Plan w całości udał się... Obywatel major zginął...
(Werble biją, kurtyna powoli spada, troje ludzi, patrząc w głąb lasu, salutuje).

Koniec.

JERZY KOLASIŃSKI

Nasz Hymn Państwowy

Jedyną bodajże naszą pieśnią świecką każdemu Polakowi najlepiej znaną jest „Jeszcze Polska nie zginęła". Nie znaczy to jednak, by tu lub ówdzie nie deformowano jej melodii, szczegółów rytmu lub nawet tekstu.

W przyszłym roku będziemy święcić 150 rocznicę powstania jej — jako symbolu niezłomności ducha narodowego.

Do niedawna toczyły się jeszcze dyskusje wokół daty, autora i formy naszego hymnu narodowego, który jest do dziś oficjalnym hymnem państwowym, mimo nieaktualnego już tekstu o znaczeniu historycznym. W rozgwarze wojny ucichły również próby i propozycje zmiany hymnu, reinkarnacji istoty jego w nowe pierwiastki tworzywa muzycznego.

Wszak staruszek to już sędziwy, jeśli w „Panu Tadeuszu" (ks. I wiersz 70) młody panek „...z dziecinną radością pociągnął za sznurek, by stary Dąbrowskiego usłyszeć **mazurek**"

Uważnego ucznia gimnazjalnego, wnikliwie czytelnika zdziwić może pozorny brak konsekwencji u Mickiewicza, gdy o mistrzowskim koncercie Jankiela czyta: (ks. XII wiersz 743) „...z trąb znana piosenka ku niebu wionęła, **Marsz** tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła! Marsz Dąbrowski do Polski..." Czyżby to była inna piosenka, niż ta, którą grał Tadeuszowi zegar kurantowy? Przecież tamta była mazurkiem, tu zaś mowa o marszu. Również Kajetan Koźmian podaje w swym Pamiętniku (Poznak, r. 1858, tom II, str. 57), że w roku 1809 wojsko polskie przechodziło przez Puławy „przy odgłosie **marsza** Dąbrowskiego". A już zrozumieć trudno, dlaczego ks. Wirtemberski („Gazeta Warszawska" z 17.V.1831) każe dla propagandy grać przed odwachem na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie marsza i mazurka Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła". Czyżby to były dwie różne melodie?

Jeszcze w roku 1830, gdy pieśń nasza zabrzmiała triumfalnie na ulicach Warszawy, dla wielu była nowością wzruszającą do łez, marszem nadziei, nie zaś formą taneczną, jaką stanowi dzisiejszy mazurek.

Otóż źródłowe badania muzykologiczne wykazały ponad wszelką wątpliwość, że pierwotną formą naszego hymnu był m a r s z. Sam **Michał Kleofas Ogiński, twórca melodii**, wyznaje w jednym ze swych listów, że „ułożył marsza z akompaniamentem słów", powstałych niewiele wcześniej w natchnieniu poetyckim **Józefa Wybickiego**, który w r. 1797 bawił z Ogińskim w Paryżu. Jako „Marsza Legionów Polskich" wraz ze słowami posyła Ogiński „Jeszcze Polska" Dąbrowskiemu w dniu 28 kwietnia 1797 r. Ten rok został przyjęty za rok narodzin naszego Hymnu Państwowego i to jako marsza.

Jako mazurek pojawia się około 1809 roku, znajdując zastosowanie na ziemiach polskich w życiu prywatnym w przeróbce tanecznej w takcie trzymiarowym. W „Historii Legionów Polskich" L. Chodźki (Paryż, 1829) umieścił W. Sowiński Pieśń Legionów w przeróbce na fortepian w formie mazurka. Ta przeróbka zdecydowała ostatecznie o pojmowaniu Pieśni Legionów jako mazurka i całkowicie prawie zatarła dawną formę marsza.

Jak często zastosowanie taneczne mają lubiane powszechnie piosenki, mamy przykład i dziś, gdy popularna melodia marszowa „Żołnierz drogą maszerował" (nawiasem mówiąc, drukowana w śpiewnikach Wehrmachtu z r. 1940) bądź krzepiła ducha w konspiracji, bądź, jak teraz, stała się namiętnie tańczonym fokstrotem.

Nasz hymn narodowy zawdzięcza przypuszczalnie swą popularność przeróbce tanecznej, gdyż w tempie marsza był stosowany jedynie w wojsku. Mazurek, symbolizujący charakter narodowy, był odpowiedniejszą później formą dla uznania „Jeszcze Polska" za pieśń oficjalną, państwową.

Poza źródłowymi dokumentami historyczno-kronikarskimi również i muzyczna analiza formalna naszego hymnu wskazuje na pochodzenie od marsza, gdyż odpowiada ówczesnym wymaganiom strukturalnym marsza, który w swej formie dwuczęściowej składa się z ośmiotaktówki plus dwanaście lub więcej taktów. Pierwsza część hymnu odpowiada tym warunkom, w drugiej zaś znaleźć by można pewne reminiscencje z francuskiego „Marsza Muszkieterów", co jednak w niczym nie uwłacza sławetnemu twórcy, Ogińskiemu, któremu zawdzięczamy tyle wzruszeń patriotycznych związanych z jego pieśnią.



MICHAŁ KLEOFAS OGIŃSKI

Gdy pisał ją, miał zaledwie 32 lata (ur. w Słonimiu 1765 r., um. w r. 1833), będąc już wtedy sławnym ze swych polonezów (najpopularniejszy „Pożegnanie Ojczyzny"), które jedynie przed polonezami Szopena miały rysy indywidualne, „nastrojone przeważnie na ton smutny, sentymentalny". W historii jego życia, pełnego troski o los Ojczyzny, ciekawe są wysiłki zainteresowania Napoleona Bonaparte koniecznością utworzenia niepodległej Polski. Gdy około 1800 roku musiał przebywać u rodziny w Poznańskiem wskutek zabronionego powrotu na Litwę po konfiskacie dóbr swoich — napisał operę dedykowaną Napoleonowi „Bonaparte w Kairze" (po jego zwycięstwie pod Piramidami) z myślą, że w razie wykonania jej w Paryżu „mały generał" zrozumiałby polityczne aluzje autora-Polaka i na tę formę podsunięcia sobie zagadnienia Polski zareagowałby życzliwiej, niż na listy prywatne Ogińskiego, będące kunsztownymi memoriałami o losie Polski, „wyczekującej pomocy od oswobodziciela narodów".

Aluzje polityczne o Polsce przemyca w operze pod ogólnymi hasłami, wygłaszanymi przez różne osoby opery. Oto niektóre z nich (w tłumaczeniu oczywiście z francuskiego):

„Czemże jest życie bez wolności, bez jej słodyczy, jak nie największym złem..."

lub kładąc wezwanie w usta zwycięskiego generała:

„Pod moje sztandary! W obronie waszej Ojczyzny!"

Operę kończy apoteoza wielkości „młodego Triumfatora, największego dobroczyńcy ludzkości", obliczona już na ludzkie słabostki Konsula.

Choć opery nigdy Napoleon nie ujrzał, mimo że w r. 1807 w Wenecji przedstawił mu się Ogiński osobiście, — pozostanie ona dokumentem historycznych zabiegów zacnych patriotów wokół sprawy Ojczyzny.

* * *

Hymn nasz, będąc pieśnią niezwykle popularną w zeszłym wieku, był niejednokrotnie wykorzystywany jako temat do różnych przepracowań przez różnych muzyków-kompozytorów.

Wspominany wyżej Sowiński (którego pieśń, jak „Święta miłości kochanej Ojczyzny" cieszy się do dziś wielką popularnością) napisał wariacje na małą orkiestrę z chórem na temat Marsza Dąbrowskiego, grane po raz pierwszy w Paryżu na koncercie na rzecz Polaków w 1831 r.

Józef Elsner pierwszy włączył Pieśń Legionów w swego „Marsza triumfalnego" mającego odmalować epokę Legionów, później użył jej w operze „Łokietek".

Karol Kurpiński wykorzystał ją jako temat do Wielkiej Fugi, zwalniając tempa, czym nadał jej charakter prawie religijny.

Jak wspomina „Kronika Rodzinna" z 1879 r., francuski klarnecista Leferve opracował pieśń, jeszcze jako marsza, na zespół kameralny instrumentów dętych i wykonał ją w kościele św. Rocha w Paryżu, „zyskując duży poklask".

Współcześni muzycy niejednokrotnie wykorzystywali temat dla celów charakterystyki, nastrojów patriotycznych, lecz najpiękniejszy, najdroższy jest nasz hymn w swej zawsze świeżej, jędrnej formie mazurka, wyrażającego tężyznę narodową, a zwłaszcza owego Mazura, „co ma taką duszę, że choćby umarł", to na zew mazurka „podskoczyłby jeszcze".

STEFAN PLEWIŃSKI

Henryk Wieniawski

Wielką zasługę w historii muzyki polskiej ubiegłego stulecia zdobyli nieliczni artyści, którzy, nie bacząc na niesprzyjające warunki rozwoju kulturalnego życia narodu zakutego w kajdany, nieśli wysoko sztandar sztuki.

Wśród wielkich skrzypków świata jedno z pierwszych miejsc zajął Henryk Wieniawski, który imię Polski wsławił nie tylko swą grą wirtuozowską, lecz i wysoce wartościowymi utworami, stanowiącymi do dziś „żelazny" repertuar każdego skrzypka-artysty.

Któż nie zna jego sławnego „Kujawiaka", rzewnej „Legendy" i innych utworów jak: mazurki, polonezy? Obok tych, „bisowych" najczęściej, kompozycji, odznaczających się błyskotliwą wirtuozerią, poważną pozycję kompozytorską zajmują dwa koncerty skrzypcowe i fantazja z „Fausta" odznaczająca się wytworną instrumentacją. Odbyty przed wojną konkurs w Warszawie, którego patronem duchowym był nasz mistrz skrzypiec, wykazał, jak bliskie naszemu charakterowi narodowemu są jego kompozycje, wyrosłe na naszej niwie jak kwiaty na ugorach zeszłego stulecia.

Urodził się Henryk Wieniawski w 1835 roku w Lublinie, gdzie ojciec jego był lekarzem, a matka utalentowaną i znaną pianistką. Jako bardzo muzykalna osoba rychło odnalazła w dzieciach swoich, starszym Józefie i młodszym Henryku, wyraźne zdolności do muzyki, a nie chcąc zmarnować przejawiającego się talentu, szczególniej u młodszego Henryka, zawiozła obu młodych chłopców do Konserwatorium muzycznego w Paryżu, gdzie pozostawali przez 4 lata, studiując muzykę: Józef w klasie fortepianu, a Henryk w klasie skrzypiec pod kierunkiem słynnego Massarta. Po powrocie do Warszawy troskliwa matka dokładała wszelkich sił, aby kształcić nadal młodszego Henryka, i doprowadziła do tego, że w r. 1848 wystąpił po raz pierwszy z wielkim powodzeniem w Warszawie, mając zaledwie lat 13.

W dwa lata później 15-letni artysta wyjechał razem z bratem Józefem na artystyczną wycieczkę po większych miastach Europy. Zwiedził Belgię, Holandię, Niemcy i Anglię, a wycieczka ta zamieniła się w triumfalny pochód młodego skrzypka - artysty. Przyjęty przez Europę do grona najwybitniejszych skrzypków, pojechał z A. Rubinsztejnem do Ameryki, a po powrocie został powołany jako solista do wielkiej opery petersburskiej po A. Kątskim, gdzie też otrzymał posadę profesora tamtejszego konserwatorium w klasie skrzypiec. Po kilku latach pobytu nad Newą wyruszył znowu w podróż artystyczną po Europie i zawadził o Ostendę, gdzie zdarzył się wypadek bardzo miły, który wywołał znamienny przełom w jego życiu. Na własnym koncercie przy przepełnionej sali, był to bowiem najliczniejszy sezon kąpielowy, zachwycił publiczność odegraniem V koncertu Beriota i Karnawału Weneckiego. Grą młodego artysty była też wzruszona panna Izabella Hampton wraz ze swą matką. Obie te panie prosiły znajomych, aby im artystę przedstawić, co bez trudności dało się po koncercie uskutecznić. Po wymianie kilku zdań zdecydował się Wieniawski dać za kilka dni drugi koncert. I tu powstała sensacja i zaczęła się romantyczna historia. Ten drugi koncert został odwołany nagle z powodu ciężkiej jakoby choroby skrzypka. To się zdarza, ale pewien rumor wśród publiczności ostendskiej wywołała wizyta miss Hampton z matką w Hotelu de'Europe, gdzie mieszkał młody pan Henryk. Gdy zaanonsowano choremu przybycie pań Hampton, ozdrowiał na tyle, że kazał prosić, naturalnie! Rozmowa była trudna, ciężka, przepełniona uczuciem i nadzwyczajnym wrażeniem. Jak zdrowie? Ależ dobre, to chwilowa niedyspozycja. Wizyta trwała krótko, ale po tej pierwszej przyszły następne, dopóki artysta nie wyzdrowiał zupełnie. Fakt ten był tematem wielu rozmów i domysłów wśród kąpielowych gości w Ostendzie i istotnie słusznych, bo przy ostatniej wizycie przyplątał się zbytnik Eros - Amorek i nastąpiło wyznanie miłości. Wtedy zabrała głos matka i oświadczyła, że z jej strony może się spodziewać najżyczliwszego przyjęcia, ale to zależy od decyzji ojca, pana Hamptona, który jest w Londynie, i że wypada, aby Wieniawski z nim się porozumiał. Po tych słowach na twarzy Izabelli zagościł rumieniec, a w oczach rozradowanie potwierdzające słowa matki. Pożegnawszy panie nasz artysta, wykąpany w gorących wodach Newy, tegoż dnia jeszcze machnął się do Londynu i na drugi dzień około południa zjawił się w mieszkaniu p. Hampton.

Znany już był na londyńskim bruku, jako dużej miary artysta, więc bardzo serdecznie został przez p. Hampton przyjęty, dopóki nie wyjaśnił właściwego powodu swej wizyty. Wtedy ostygła serdeczność i niby mroźny wicher zmiótł z twarzy gospodarza życzliwy uśmiech. Pan Hampton odmówił. Wieniawski wrócił do swego mieszkania i miał się przygotowywać do wyznaczonego już dawniej na Londyn w tych dniach koncertu. Ale nie mógł ćwiczyć objętych programem tego koncertu utworów. W takiej rozterce myśli nasze wracają zwykle do lat dziecinnych. To też i myśl artysty wybiegła daleko z Londynu na lubelskie sioła i lasy i niwy zielone, a dusza bólem targana rozkołysała się na falach tęsknej ludowej piosenki. Porwał za skrzypce i grał. „Rzewny ton płynący zrazu cichą skargą, rozbrzmiewał coraz silniej, rósł, potężniał, aż w końcu, wobec ogromu obecnej niedoli, zagrał przejmującym jękiem rozpaczy, poczęty w chwili prawdziwego natchnienia. Jeszcze jedno pociągnięcie smyczka i oto wśród nieopisanie pięknego andante maestoso padł ów straszny piorun na słuchacza jękiem duszy starganej rozpaczą. Tak powstała „Legenda", tak ją na koncercie w Londynie grał Wieniawski, a ostatnie tony płynęły coraz cichszym tchnieniem i długo jeszcze szemrały w duszy rozmarzonych słuchaczy, choć artysta dawno przestał prowadzić smyczek drżącą od wzruszenia ręką". Gdy przebrzmiały ostatnie tony, zagrzmiały oklaski, a deszcz kwiatów pokrył koncertanta i całą estradę. A pan Hampton wraz z żoną i córką, które w przeddzień koncertu wróciły z Ostendy do Londynu, wszyscy troje obecni na koncercie, podeszli do artysty, gratulując mu tak wielkiego powodzenia. Odpowiedź pana Hamptona zabrzmiała inaczej: „Tylko prawdziwa miłość tłumaczy się tak natchnioną pieśnią, jaką Pan do nas przemówił". W kilka tygodni później ukazał się w Lipsku utwór Henryka Wieniawskiego pod tytułem „Legenda", który autor dedykował swej żonie, Izabelli urodzonej Hampton.

Tę romantyczną historię opisał w Tygodniku Ilustrowanym z 1880 roku Romuald Starkel, z której pozwoliłem sobie zaczerpnąć ciekawsze ustępy i całą treść.

Po kilku latach zagranicznej wędrówki wrócił Wieniawski z żoną do Warszawy i tu ostatni raz koncertował w roku 1874.

Przyszły teraz lata ciężkie i smutne z racji szybko postępującej choroby serca. W roku 1879, zaproszony przez Rubinsztejna do wzięcia udziału w wielkim koncercie Towarzystwa Muzycznego w Moskwie, pojechał tam, ale już nie wrócił. Ciężka i ostra zima przyśpieszyła rozwój choroby i umarł w Moskwie 31 marca 1880 roku.

Zwłoki Henryka Wieniawskiego zostały sprowadzone z Moskwy i pochowane na cmentarzu powązkowskim w Warszawie.

FRANCISZEK SADOWSKI

WIECZÓR

Chłop odetchnął szeroko
i rozkosz chłodu goni
po ziemi ciepłej broną
cieniem wydłużonym.
I krowy ciągną w obory,
a pastuszek — dziecina
na strunach fujarki
pobudkę nocy rozpina...
by na pastwisko nieba
gwiazd zbudzone stada
nocny pasterz — księżyc
wypędzał gromadnie,
gdyż z gałęzi pagórków
mrok kwiaty otrząsa,
które zasadziła
zorza — córa słońca,
aż zwycięży i legnie
na posłaniu w polu
jak ojciec, gdy wróci
zmęczony z zagonu...

JAN POCEK

ŚMIERĆ SOLARZA

Na garści spleśniałej słomy,
w baraku numer dwanaście
konał Solarz Ignacy
w południe jak len jasne...
Nikogo przy nim nie było,
tylko wiatr złoty jak pszczoła
przynosił mu zapach wiosny
od dalekiego, hen pola...
A gdy już szeptem gasnącym
pożegnał swoich najbliższych,
z serca — jak snopy płomieni —
trysły mu słowa modlitwy:
Skrusz, Boże, Babilon wraży,
ogniem piekielnym go spal
i ku słowiańskim narodom
z błękitów wychyl swą twarz...
Wraz z tą wielką modlitwą
i duch mu z piersi wypłynął,
by ponieść ją do Boga
ze swędem ludzkiego dymu...

ALEKSANDER WIELHORSKI

O szerzeniu kultury muzycznej

Aby szerzyć z pożytkiem kulturę muzyczną wśród szerokich mas, należy rozważyć dwa zasadnicze problemy: pierwszy — jaki jest stan muzykalności tych odbiorców i drugi — jaki rodzaj muzyki może być narazie popularyzowany.

Nawiązawszy ubiegłej jesieni kontakt ze słuchaczami małych miasteczek i wsi, zastanowiły mnie dwie kontrastujące ze sobą rzeczy: pierwsza — to szczery pęd ludności do słuchania muzyki w ogóle (w szczególności wśród młodzieży szkolnej) i równocześnie rzecz druga — brak elementarnych pojęć, jakiej muzyki warto słuchać i jak na nią należy reagować. Moim zdaniem — „zdrowe ziarno muzyczne" powinno padać na glebę już uprzednio przygotowaną. Tymczasem gleba ta jest u nas niesamowicie zachwaszczona dzięki kompletnej obojętności w tej sprawie społeczeństwa, w szczególności byłego sanacyjnego rządu, tolerującego powszechne przenikanie „tandety muzycznej" w postaci bezwartościowych płyt gramofonowych, przez panoszenie się w Polsce wydawnictw, które można by śmiało nazwać „pornografią muzyczną", dającą duże zyski wydawcom, a deprawującą poczucie piękna muzycznego w szerokich warstwach społeczeństwa. Te nuty z powodzeniem lansowane przez wydawców — to przeważnie tak zw. „szlagiery" najniższego gatunku, często importowane lub własnego „wyrobu" krajowego z okropnymi tekstami polskimi, nie mające nic wspólnego ani z prawdziwą sztuką, ani z charakterem naszej muzyki narodowej.

Jak wiadomo, do roku 1939-go muzyka wartościowa miała u nas tylko bardzo szczupłą garstkę konsumentów i to tylko w większych środowiskach miejskich, szeroki zaś ogół nie miał możności nawiązania z nią bezpośredniego kontaktu. Trzeba więc wychowywać obecnie nowych konsumentów muzyki wartościowej, trzeba zacząć od odpowiedniego wychowania muzycznego naszej młodzieży, szczególnie młodzieży wiejskiej, pozbawionej dotychczas wszelkich podniet artystycznych. Ileż to było wypadków, że z powodu braku opieki ze strony czynników miarodajnych marnowały się w Polsce wybitnie utalentowane jednostki, szczególnie wśród najbiedniejszej warstwy społecznej.

Jak to pisał jeszcze przed wojną Zdzisław Dębicki — szlachta polska swą rolę reprezentacyjną w dziedzinie kultury skończyła już bezpowrotnie! Naród polski rozszerzył się poza nią. Ściskające klamry wyłączności — pękły! Dziś do współpracy kulturalnej wchodzi i chłop i robotnik, a tak duża **rozlewność kultury stanowić będzie o jej sile więcej, niż wysoki poziom**. Szczyty ginące w obłokach, jeśli nie są dostrzegalne dla szerokich mas, przestają odgrywać rolę drogowskazów w życiu!...

Dziś lud polski w swej wielomilionowej masie powinien być i współtwórcą i spożywcą tych wartości duchowych, bez których życie narodu nie może osiągnąć wyższych szczebli rozwoju. W związku z tym — rodzą się pewne zastrzeżenia w stosunku do materiału twórczego niektórych naszych modernistów. Jeśli pójdą oni nadal w kierunku wybitnie elitarnym, to następująca uwaga Henryka Sienkiewicza w „Bez dogmatu" będzie jeszcze i dziś bardzo aktualną — mianowicie: „Czy muzyka, dla której zrozumienia trzeba być profesorem Konserwatorium, do której nie mają klucza już nie tylko prostaczkowie, ale nawet ludzie rozwinięci i poniekąd muzycznie wykształceni — jest tym, czym być powinna? Obawiam się, aby idąc tą drogą — muzycy nie wytworzyli z czasem kasty egipskich kapłanów, przechowujących wiedzę i piękno wyłącznie dla siebie"...

* * *

Mówiąc o wychowaniu muzycznym młodzieży, ma się zawsze na myśli jeden zasadniczy warunek — nie przyzwyczajać jej do słuchania i wykonywania muzyki bezwartościowej, złej! Co to znaczy muzyka zła? Każdy wytwór sztuki, zależnie od swych elementów składowych, może mieć dwojaki wpływ — dodatni, budujący, lub ujemny, destrukcyjny. Otóż jeśli młodzież nasza będzie słuchała muzyki destrukcyjnej — to z konieczności zatraci poczucie tej pierwszej, wartościowej, czego właśnie jesteśmy świadkami w dzisiejszych naszych warunkach.

Niech więc szkoła powszechna — ta wstępna niejako komórka wychowania muzycznego — stanie odrazu mocno na straży muzyki dobrej, budującej. Mogą to być na początku łatwe piosenki ludowe, najlepiej danego regionu, ale niech muzyka i tekst piosenki tworzą pewną artystyczną całość, która wpłynie na zainteresowanie się śpiewem w szkole.

Tu nauka rytmiki i solfezu, podawana równocześnie w formie dostępnej, ułatwi bardzo pracę umuzykalnienia dzieciarni.

Wiadomo z doświadczenia, jak szybko może się rozwijać muzykalność dzieci przy odpowiednim prowadzeniu nauki śpiewu, jak szybko nabierają poczucia rytmu, rozwijają słuch i pamięć muzyczną. Słusznie zaznacza prof. dr Adolf Chybiński (w Nr 2 „Ruchu Muzycznego"), że należy zaznajamiać młodzież przede wszystkim ze skarbami muzycznymi, jakimi są ludowe pieśni regionalne, a następnie z antologią melodii ludowych ze wszystkich ziem polskich, odpowiednio zgrupowanych w śpiewnikach ogólnopolskich i regionalnych. Wydawanie takich śpiewników — na razie jednogłosowych — jest sprawą niezmiernie paląca.

Dziś ważną rolę w dziedzinie wynajdywania naszych współczesnych „Janków — muzykantów" odegrać może nauczyciel szkół powszechnych lub organista. Należy walczyć usilnie o odpowiedni poziom tych wiejskich „pionierów muzycznych". Niestety widzimy tu często duże niedociągnięcia, szczególnie brak u wielu organistów wiejskich instynktu społecznego, ideowości w pracy.

Dobrze by było, gdyby lud w kościołach śpiewał tylko jednogłosowo, ale zawsze czysto, fałszywe bowiem śpiewy **deprawują muzycznie** ludność miejscową. Pilne więc zadanie dnia dzisiejszego to urabianie wśród młodzieży smaku artystycznego drogą metodycznych pogadanek z przykładami muzycznymi choćby z płyt gramofonowych, odpowiednio dobranych. To wzbudzi stopniowo zainteresowanie, a następnie i zamiłowanie do muzyki wartościowej.

Pamiętam chóry cerkiewne w dawnej Rosji, np. słynny Chór Synodalny w Moskwie, gdzie mali chłopcy zastępowali dyskantami głosy żeńskie. Jaka tam była idealna czystość intonacji, jakie subtelne cieniowanie, jakie poważne podejście tych malców-śpiewaków do sztuki. A nasz dawny chór z dzieci Powiśla, który zorganizował i prowadził znany profesor Stanisław Kazuro, dzisiejszy Rektor Konserwatorium Warszawskiego, lub słynny chór katedralny w Poznaniu pod kierunkiem dziś już ś. p. ks. dr. Wacława Gieburowskiego, gdzie również przeważała dzieciarnia! A znakomity chór chłopięcy z Wiednia, który zbierał w Polsce przed wojną takie gorące oklaski! Przykładów można przytaczać bez końca, gdzie dzieci muzykalne, a odpowiednio prowadzone — wzbudzały wynikami pracy szczery zachwyt muzycznego świata.

A jak było dotąd u nas, na wsi? Dzieci chłopskie nie słyszały nigdy wzorowego wykonywania utworów muzycznych, chóralnych czy też instrumentalnych, ani w chałupach, ani w szkole, ani w kościołach. Jeśli się czasem znalazły w chacie jakieś skrzypce albo harmonia (najmniej wartościowy instrument co do tembru dźwiękowego) — to albo wykonywane były na tych instrumentach błahe poleczki (przeważnie fałszywie), albo jakieś słyszane w pobliskim miasteczku modne a wstrętne szlagiery. W szkole powszechnej nie traktowano nauki śpiewu fachowo i na poziomie właściwym. Nie organizowano żadnych wartościowych imprez muzycznych dla wsi, gdzieby młodzież słyszała **dobre** wykonanie **dobrej** muzyki.

Dzisiaj, jadąc w teren z koncertami do wsi i miasteczek, artyści muszą to mieć zawsze na uwadze i dawać narazie pokarm muzyczny łatwo strawny, popularny, ale wartościowy, poprzedzony odpowiednio objaśniającą prelekcją. Bardzo byłyby pożądane występy chórów stojących na poziomie i posiadających w swym repertuarze opracowane pieśni ludowe. Niech soliści zaznajamiają wieś z pieśnią i muzyką rodzimą, obejmującą szczególnie polskie rytmy taneczne, jak mazurki, polonezy, krakowiaki, kujawiaki i t. d. Taka bliska polskiemu sercu nuta zawsze znajdzie oddźwięk w słuchaczach. Zasłużona orkiestra ludowa ś. p. Karola Namysłowskiego, a obecnie pod kierunkiem jego syna Stanisława, posiadająca popularny repertuar — wiele może zdziałać, objeżdżając z koncertami nawet nieduże osiedla. Również objazdy grupy operowej, choćby z wyjątkami oper Stanisława Moniuszki (jak Halka, Straszny dwór i t. d.) przyczyniłyby się bezsprzecznie do umuzykalnienia zaniedbanej pod tym względem prowincji. Jeśli chodzi o artystów - wykonawców, to zapału do pracy w szerzeniu oświaty muzycznej nie braknie! Powiem nawet, że jest u nas sporo entuzjastów, którym jedynie obecnie warunki bezradnie związują ręce...

Kończąc powyższe luźne uwagi, musimy apelować do Ministerstwa Kultury i Sztuki dla dobra sprawy chociaż o dwie tylko, ale niezbędne rzeczy: pierwszą — przydzielenia dla prowincji instrumentów, których jest tak dużo zmagazynowanych na naszych ziemiach zachodnich i drugą — przydziału samochodów dla stałego kontaktu z terenem — bez tego upowszechnienie muzyki wśród mas pozostanie pustym frazesem!

JAN POCEK

NOC W POLU

Znieruchomiała, jak gwiazdy w górze,
śpi w słodkiej ciszy pól rzeka zielona,
czuwają tylko latarnie dzikich makówek
w złotych jęczmieniach...

I czasem na dalekim wzgórzu
ozwie się derkacz w miedzianym prosie,
jakby księżyc potrącał o wieże kościoła
lub jakby zaskrzypiały na polnych zapomnianych drogach
chłopskich wozów... osie...

Dopiero gdy północ gwiaździsta
błogosławić pocznie pszenic kwadraty,
cichną wszelkie głosy i szmery,
noc pachnie tylko niby rajskie kwiaty
i słychać szept anielskich pacierzy...

JAN POCEK

BYŁEM SAMOTNY

Nikt nie przychodził do mej chaty małej,
kiedy miałem lat dwadzieścia,
kiedy jeszcze pisać nie umiałem
i gdym od pierwszych natchnień cierpiał...

Jedynie tylko Chrystus blaszany
do maleńkiego przybity krzyżyka
sponad okienka, z bielonej ściany
wzrokiem mnie swoim przenikał...

I czasem szary olbrzymi pająk,
chodzący po sufitu deskach,
zawisał nade mną — przędąc nić szarą
jak kościelna lampa wieczna...

A czasem... czasem i matka stara,
szepcąca różaniec przy kominie,
kładła mi ręce na głowę i... łkała:

O, daj mu Panie życie szczęśliwe...

JAN NAGRABIECKI

Stanąłem samotny pod wiechciem szarej kory,
niosąc słowa w dłoniach gorącej miłości.
Doleciał mnie zapach. Wichrowych skib ugory
wonily kłosem zbóż. W zbożach ludzie prości
powili gniazda, jak ptactwo garnące
pieszczotę chwil jasnych po błogosławieństwo dniom.
Lądował wzrok mój tam, gdzie krzak szczęścia kwitnący.
Wiem... Tam pójdę dzisiaj i wybuduję dom.

WOLA DOBRA I WOLA ZŁA

Linia rozwojowa lubelskiego Teatru Domu Żołnierza, który był dotąd siedliskiem rewii, nagle poszła stromo w górę. Może stało się to pod dobroczynnym wpływem Szkoły Dramatycznej, dokąd uczęszcza kilku członków zespołu, dość że Teatr ujawnił ostatnio szlachetne ambicje wystawiając „Świerszcza za kominem".

Wzruszająca ta opowieść o „zacisznej świątyni domowego ogniska", inscenizowana kiedyś przez Studio moskiewskiego Teatru Artystycznego, jest wiecznie młoda, jak każde dzieło noszące znamię geniuszu. Kto wie nawet, czy siłą kontrastu nie przemawia do nas dzisiaj dickensowska „poezja serca" bardziej wymownie niż kiedykolwiek? Bo niezłomne przekonanie, że prawda i miłość są potężniejsze od największego zła, jest balsamem dla dusz starganych w sześcioletniej niewoli.

Nie znam pisarza, który by w takim stopniu jak Karol Dickens ukochał ludzkość w jej konkretnych jednostkach, dobrych i złych. Miał w sobie wprost franciszkański zapał dla dobra, promieniujący z każdej jego dodatniej postaci. A i czarne charaktery wybielał ile się dało, wzbudzając litość czytelnika ich osamotnieniem lub późną skruchą. Przypomina pod tym względem Fra Giovanni da Fiesole, anielskiego malarza Quattrocenta, który nawet twarzom diabłów w swym Sądzie Ostatecznym nadał wyraz dobrotliwy.

Dzięki fachowej reżyserii Ireny Klejerowej inscenizacja „Świerszcza" w Domu Żołnierza jest prawie wolna od cech amatorskich. Dekoracje Torończyka są dobrze przemyślane, zwłaszcza udał się zmurszały domek, ta „potrzaskana skorupa orzechowa", gdzie mieszkał ze swą ślepą córką Kaleb Plemmer, biedny chałupnik fabrykantów zabawek Gref i Tekiton.

Powierzanie w teatrze ról starców aktorom młodym jest jeszcze bardziej niebezpieczne, niż oddanie roli ingénue starzejącej się artystce, gdyż wytwarza nieprzewidziane momenty komizmu. Lecz doskonałość przeistoczenia się młodego tancerza Adamowa w sędziwego Kaleba — każdą komórką ciała i każdym fibrem duszy — jest godna podziwu. Nie ulega wątpliwości, że na skromnej scenie Domu Żołnierza narodził się artysta z Bożej łaski.

E. Brok-Brzeska, w roli niewidomej Berty, odgrodzonej świętym kłamstwem ojca od ciemnego świata, stworzyła patetyczny obraz niedoli i cierpienia, który wstrząsnął widownią. Znajdujemy więc talenty tam, gdzie się ich nie szukało.

Bardzo obiecująca jest też Maria Garbowska, kapitalna mała piastunka Tilly, z jej żywiołowym zachwytem i rozpaczą, z tysiącem ucieszных min. Za udaną uważać należy również metamorfozę, jakiej uległ wesoły konferansjer Jan Wiśniewski, przedzierzgnąwszy się w statecznego olbrzyma Johna Piribingla, co wyuczył się niezachwianej miłości w szkole matki-natury. Panią Piribingl, dzielną uroczą kobietkę, chciało by się widzieć nieco bardziej „Dot", t. j. kropeczką, — czymś w rodzaju zabawnie gospodarnego elfa. Trudno jednak wysuwać z tego tytułu poważniejsze zastrzeżenia pod adresem Sabiny Bielińskiej. Jan Szwarc, w roli mizantropa Teklitona, był Anglikiem w miarę, po dickensowsku, antypatycznym, aż do momentu swej klęski, kiedy widownia od razu otoczyła go sympatią. Małomówna Mey (Barbara Grabowska) jest jak malowanie, czcigodna Mrs Fielding (Natalia Ordyńska) nadaremno rywalizuje z nią młodością — traci to amatorszczyzną. Edward Martynowicz, Nieznajomy, jako Deus ex machina (który zresztą sam nawarzył piwa), boryka się z niewdzięcznym zadaniem, a Sozański w roli Dickensa czuje się zapewne trochę samozwańcem. Nawiasem mówiąc, naiwną historyjkę w prologu o zatargu kociołka ze świerszczem śmiało można było skrócić bez krzywdy dla genialnego autora. Jak również i przemówienie świerszcza spoza kominka (by się te błyski feeryczne nie zmechanizowały w oczach widza).

Kostiumy są na wysokości zadania, bulkotanie muzyczne kociołka jest przyjemne.

* * *

Ilekroć zajdzie mowa o lubelskim Teatrze Miejskim, przypomina się wbrew woli bajka Kryłowa o kocie, co przyłapany z kawałkiem pieczeni wysłuchuje morałów kucharza, a słuchając — dalej sobie zajada. Na nic się nie zdały długometrażowe artykuły o wielkim repertuarze! Teatr Miejski czyta i trzyma się kurczowo lekkiej komedii lub farsy, jak gdyby znalazł w nich kamień filozoficzny. Jeszcze nie zmarło echo strzału w „Nieludzkiej", a już na scenie — dzieje salonu.

Tym razem „Powrót" (nomen omen) w reżyserii Karola Borowskiego. Dyrekcja wyjaśniła na afiszu, że „Powrót z wojny", dodajmy więc dla ścisłości — z „tamtej" wojny, chyba to źle na kasę nie wpłynie.

Nic nie mam przeciwko miłej komedii Flersa i Croisseta, solidnej spółki autorskiej, która przejęła firmę na krótko przed pokojem wersalskim od nie mniej cenionej spółki Flers i Caillavet, co dała teatrowi takie pogodne satyry, jak „Król", „Święty gaj", „Zielony frak" i szereg innych sztuk iskrzących się od szampańskiego humoru. Croisset, którego porównywano z Marivaux i z Crébillonem młodszym z racji dość zuchwałej perwersyjności, zręcznie maskowanej poezją, wniósł do „Powrotu" sporo soli attyckiej, ale już bez francuskiego pieprzu (może trzymany na wodzy przez Flersa). Wypowiedziana tu jest pod postacią paradoksu niejedna święta prawda. Rzecz tryska wspaniałym dowcipem, co nie przeszkadza jej być zupełnie moralną. I kończy się wszystko bardzo ładnie, bo od klasycznego cudzołóstwa ratuje żonę braterstwo broni łączące męża z kandydatem na kochanka. Osią dramatu małżeńskiego w tej komedii jest samoodbrązowienie męża, który powrócił z wojny do swych powszednich zajęć i wśród, podczas gdy żona chciała widzieć i w cywilu bohatera. Z czysto francuską kulturą intelektualną wyszydzili autorzy wszelkie zakłamanie powojenne.

Gdyby ta niefrasobliwa sztuka była interludium w bardziej ważkim repertuarze, — trampoliną finansową do jakichś wyczynów stylowo-kostiumowych, wszystko byłoby w porządku. Ale, wbrew zapowiedzi, Teatr Miejski hasa wciąż na kucyku i nie widać kresu tej galopady. Amatorską Rewię Sylwestrową powtarzało się aż do Popielca, a to się mści na stylu gry.

Lekką komedię zagrano przyciężko, farsowo. Małkiewicz i Pichelski — co za urocza para! — mogą jeszcze ujść za Francuzów, Michnikowski (korzystna pożyczka z Domu Żołnierza) ma w roli Marcelego Vaucroix dużo bezpośredniości i młodzieńczego wdzięku, lecz gorzej jest z Panią Tourrare, tą wdową po ambasadorze. Gdybyż kierownictwo artystyczne wpadło na pomysł zretuszowania mamy na papę! Dostałby rolę ktoś powołany, a wartościowa aktorka i reżyserka G. Błońska nie potrzebowałaby męczyć się grając Ćwiklińską.

Zbyt groteskowy był też przyjaciel rodziny pechowiec Baltazar (Chmielarczyk); reszta wykonawców (Śliwa, Kowalczyk, Górecka) trzymała się na poziomie swych ról epizodycznych.

Za przeciętny buduar francuski z ostatniego aktu publiczność dała p. Węgierkowej brawo, rozpoznając w nim z uradowaniem elementy dekoracyjne z „Papy", ale fotele w innych odsłonach, białe w czarne grochy, stanowczo nie rozwiązują zagadnienia brzydoty, skoro siaduje na nich śliczna Coletta Małkiewicz.

M. B.-R.

KAMIENIE MÓWIĆ BĘDĄ

Na krótko przed wybuchem ostatniej wojny ukazała się na półkach księgarskich powieść historyczna Hanny Malewskiej p. t. „Żelazna korona". Dzieło to odrazu postawiło autorkę w rzędzie tych nowych talentów, którym rokuje się wielkie nadzieje. O „Żelaznej koronie" — pisało się wiele. Niektórzy zestawili Hannę Malewską z Zofią Kosak-Szczucką. Porównanie to jest dość ryzykowne, gdyż poza tym, że obie autorki uprawiają powieść historyczną, wszystko je raczej dzieli niż łączy.

Najlepszym tego dowodem jest ostatnia książka Hanny Malewskiej p. t. „Kamienie mówić będą", wydana przez odrodzoną Księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu.

Akcja nowej powieści autorki „Żelaznej korony" rozgrywa się w XIII stuleciu we Francji. W starym mieście Beauvais spłonęła świątynia. Szybko powstała myśl zbudowania nowej, tak pięknej i tak strzelistej, jak katedra w Chartres. Kapituła wezwała lud okoliczny, szlachtę i pospólstwo do świętej pracy nad wzniesieniem kościoła. Kto żyw rzucił się do czynu. Wśród ekstatycznego religijnego uniesienia tysiąc rąk wydobywa dzień w dzień z głębin ziemi opokę, wali mocarne dęby i z pieśnią na cześć dobrotliwego Stwórcy zakłada fundamenty pod świątynię, której urok ma zaćmić wszystko.

Powstająca katedra w Beauvais, jak potężny, czarnoksięski magnes przyciąga ludzi, a przede wszystkim artystów: architektów, cieśli, rzeźbiarzy i kamieniarzy. Los wielu istnień wiąże się z losami świątyni. Katedra pochłania całkowicie twardego majstra Adama, niecierpliwego i wiecznie błądzącego cieślę Mateusza, brata Hilarego, Szymka, a wreszcie rzuca swój przemożny czar na mistrza Hugo, by skruszonego grzesznika natchnąć żądzą tworzenia, wolą dźwigania w niebo strzelistej iglicy, a następnie cisnąć go w momencie szału w przepaść zatracenia. W cieniu rosnących z dnia na dzień murów kościoła słychać śpiew aniołów, tam też rozkwita czysta miłość Adamowej Maryjki, a obok panoszy się grzech, zbrodnia i zdrada. Jak wszędzie, jak w życiu. Tragedia opętanego majstra Mateusza, męka i ofiara brata Hilarego, trud wielu tysięcy budowniczych miesza się z ofiarą i samozaparciem króla Ludwika, noszącego krzyż i ruszającego z krucjaty na krucjatę. Ponad grzech, ponad zwykłe upodlenie wzbija się duch ludzki, duch wielki i zwycięski, wypełniający miłością Chrystusową otchłań zła i upadku. Król Ludwik przemywa zżarte trądem powieki majstra Mateusza, zanim wyruszy znów na krucjatę. A katedra z Beauvais rośnie. Kamień po kamieniu. Kamienie te przez długie wieki „mówić będą".

Powieść Hanny Malewskiej przypomina w swej literackiej koncepcji strzelisty, koronkowy gotyk katedr francuskich. Fakty, zdarzenia nawarstwia autorka ostrożnie, powoli, jak ogromne bloki kamienne pod monumentalną budowę. Ludzie żyjący w atmosferze religijnej ekstazy i ciągłego uniesienia, wśród tych kamieni co po wieki „mówić będą", mają też nieprzeciętne wymiary. Są to wstrząsające swą prawdą wewnętrzną olbrzymy, sylwety o koszmarnych, często nadludzkich zarysach. Takim jest majster Adam, takim jest Hilary, mistrz Hugo czy nawet trędowaty majster Mateusz.

Styl powieści daleki od wszelkiego przerostu słowa, jasny, prosty, oszczędny, a jednocześnie tak barwny jak średniowieczne witraże. Często spotykamy w dziele Hanny Malewskiej opisy wręcz mistrzowskie. Język współczesny zlekka tylko archaizowany.

„Kamienie mówić będą" H. Malewskiej to jedno z najlepszych dzieł prozy polskiej w ostatnich czasach.

Józef Nikodem Kłosowski

NOWE KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik" wydała w ostatnim czasie szereg ciekawych i pożytecznych książek dla dzieci i młodzieży. Z książeczek dla dzieci zasługują na wyróżnienie: Mariana Kalinowskiego „Tańczące serca" z ilustracjami J. Jankowskiej, Ewy Szelburg Zarembiny „Rybak i sosna" z ilustracjami O. Siemiaszkowej oraz opowiadanie Hanny Janiszewskiej p. t. „O dobrym strachu". Wymienione książeczki odznaczają się bardzo starannie obmyśloną stroną graficzną.

Młodzież powinna zainteresować się książką Heleny Bobińskiej p. t. „Maria Curie Skłodowska", omawiającej w bardzo przystępnej formie „walkę o rad", zakończona walnym zwycięstwem naszej wielkiej rodaczki. Nie mniejszą wartość posiadają „Wskazania obywatelskie Tadeusza Kościuszki", poprzedzone słowem wstępnym przez prof. H. Mościckiego. Na największe uznanie zasługuje „Kalendarium Kościuszkowskie", uzupełniające „Wskazania".

J. N. K.

DR WIKTOR HAHN

PAMIĄTKI KOŚCIUSZKOWSKIE
W LUBLINIE i MACIEJOWICACH

W poznańskim „Orędowniku" z r. 1917 (w nr. 232) podał ks. Pleszczyński wiadomość, że ofiarował do Seminarium Duchownego w Lublinie, jako zaczątek Lubelskiego Muzeum Diecezjalnego, szereg pamiątek po Kościuszce, jakie udało mu się zebrać wówczas jako proboszczowi w Maciejowicach. W związku z tą wiadomością zwracam się do obecnego Zarządu wspomnianego Muzeum w Lublinie, względnie do tych osób, któreby mogły coś o tej sprawie wiedzieć, z zapytaniem, czy i jakie złożone w r. 1917 pamiątki Kościuszkowskie znajdują się w zbiorach Muzeum.

W tej samej notatce donosi ks. Pleszczyński, że w Podzamczu, w pobliżu Maciejowic znajdowała się jeszcze w r. 1917 wspaniała lipa, pod którą ranny Kościuszko pod Maciejowicami otrzymał pierwszy opatrunek chirurgiczny.

Przypomina nadto ks. Pleszczyński, że w r. 1862 podczas wielkiej manifestacji patriotycznej usypano w Krempie, oddalonej o 6 km. od Maciejowic, kopiec, na którym pomieszczono pamiątkowy krzyż dębowy. Do tej Krempy, gdzie Kościuszko został ranny, wędruje w pięknym opowiadaniu **Stefana Żeromskiego** „Mogiła" junker Maurycy Zych: „Stoi kopiec niewysoki pośród kęp gęstej olszyny i tarek... Przed kopcem do strony gościńca wyciąga ramiona krzyż modrzewiowy z napisem:

„Na cześć braci poległych za Ojczyznę w dniu 10 października 1794 roku".

Odczytawszy te słowa, przypomniałem sobie dopiero, że stoję na miejscu Maciejowickiego pogromu... Nieoceniona krew Tadeusza Kościuszki, którą na tym miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknąłem ustami piasku mogiły. Nareszcie poznałem ją, zrozumiałem, co ona jest i uwielbiłem na zawsze — tę Ojczyznę".

Pod wpływem wzmianki Żeromskiego zwiedza owo pamiątkowe miejsce w kilka lat potem **Bernard Chrzanowski**, tak dobrze zasłużony działacz na polu społecznym i kulturalnym w Wielkopolsce, a odniesione wówczas wrażenia maluje w ten sposób: „Miejsce niezwykłe, nie ma bodaj takiego drugiego na polskiej ziemi. Są na niej przesiąkłe krwią znanych i nieznanych żołnierzy za niepodległość pobojowiska bitew i potyczek i ostatnich powstań po wielkiej wojnie i powstań 1863, 1846 i 1831 roku i wojen napoleońskich, lecz jest tylko to **jedyne miejsce zroszone krwią naczelnego wodza i najsłynniejszego i najwięcej umiłowanego wodza, równego królom, z którymi spoczywa**, z których jednak bądź co bądź żaden — od Warneńczyka ginącego za chrześcijaństwo — za Polskę krwi nie przelał, bo nie wolno królom życia swego narażać, bo choć „króle" idą na wojnę i „najdzielniej biją", lecz „najczęściej giną chłopy"; jest to jedyny kawał ziemi, nasycony krwią **Ojca naszej porozbiorowej walki o niepodległość, pierwszego jej wyznawcy i apostoła, pierwszego za nią rycerza, pierwszego żołnierza, pierwszego powstańca**" (Z Ojczyzny. Lwów 1925).

Pragnę w końcu przypomnieć, że w Maciejowicach staraniem ks. Pleszczyńskiego ufundowano w r. 1917 ku upamiętnieniu 100-ej rocznicy śmierci Kościuszki **Przytułek im. Kościuszki** dla starców i kalek, zwłaszcza tych, którzy walczyli za Ojczyznę.

Może dojdzie ten głos mój i do Maciejowic i spowoduje jakieś wyjaśnienie w sprawie owej pamiątkowej lipy, kopca z krzyżem i przytułku im. T. Kościuszki.

CZAS JUŻ ODNOWIĆ PRENUMERATĘ ZA II-gi KWARTAŁ R. B.

WŚRÓD CZASOPISM

Nr. 8 pisma „Wici", naczelnego organu Związku Młodzieży Wiejskiej Rzplitej Polskiej, porusza wiele ciekawych problemów dotyczących pracy wiejskich zespołów młodzieżowych oraz zawiera szereg wiadomości z wydarzeń w kraju i zagranicą. Aktualne zagadnienie pogłębienia i rozszerzenia współpracy pomiędzy Kołami Młodzieżowymi omawia Bolesław Dejworek w artykule p. t. „Współpraca Kół w Związkach Sąsiedzkich". Eugenia Jagiellówna poświęca parę uwag sprawie opieki nad młodzieżą wiejską kształcącą się w szkołach średnich, celem zapobiegania jej oderwaniu od wsi. Z dalszej treści bogatego objętościowo numeru dowiadujemy się o wznowieniu działalności przez Uniwersytety Ludowe w Gaci Przeworskiej i w Szycach. Pismo zawiera także dodatek dla młodszych Wiciowców p. n. „Nowizna Wiciowa", który będzie się ukazywał raz w miesiącu.

„Przegląd Artystyczny". Drugi numer „Przeglądu Artystycznego" sprawił pewien zawód. Zastrzeżenia powstają w związku z doborem treści na ogół interesującej, ale nie pozostawiającej na czytającym głębszego wrażenia. Do najlepszych pozycji zaliczyć należy: poważne studium o Oldze Boznańskiej, opracowane przez Tadeusza Dobrowolskiego, omawiającego kolejne etapy ewolucji talentu tej wielkiej artystki, oraz wypowiedzi Juliana Przybosia na temat „Plastyczne próby wyobraźni poetyckiej", poparte ilustracjami do jego wiersza i utworu młodego poety Jerzego Lau. Dalszą treść numeru wypełniają: w tłumaczeniu Stefana Flukowskiego artykuł z 1914 r. znanego pisarza szwajcarskiego C. F. Ramuza, poświęcony Cezannowi, największemu kolorystce francuskiemu, którego dewizą było „przez pełnię barwy do pełni formy", oraz wypowiedzi artystów francuskich zamieszczone w czasopiśmie „Arts", będące wyrazem hołdu złożonego największemu z żyjących malarzy Henri'emu Matissowi. Numer dopełnia kronika żałobna, kronika artystyczna oraz przegląd prasy.

„Przegląd Artystyczny" jest w tej chwili jedynym pismem w Polsce reprezentującym plastykę i jako takie powinien być odbiciem problemów nurtujących zarówno wśród naszych twórców jak i szerokich rzesz miłośników sztuk Pięknych. Pismo to powinno stać się areną dla artystycznych polemik i dyskusji na tematy aktualne. Wypełnianie natomiast połowy numeru nawet najlepszymi tłumaczeniami, poświęconymi największym mistrzom sztuk pięknych, wydaje się nieuzasadnione, zwłaszcza, że jest to dopiero drugi numer wydawnictwa.

I. W.

K R O N I K A

LITERATURA

POEZJE SŁOWACKIEGO
w języku rosyjskim

W najbliższych dniach w Moskwie wyjdzie z druku nakładem Państwowego Wydawnictwa Literatury „Goslitizdat“ tom „Wybranych poezji“ Juliusza Słowackiego w przekładzie Aleksandra Kowalenskiego. Tom ten zawiera „Lillę Wenedę“, „W Szwajcarii“, urywki z „Jana Bieleckiego“, jak również szereg liryk. Kowalenski jest gorącym zwolennikiem wierszy sylabicznych, starał się przeto zachować dźwięk, rytm i formę oryginału.

Wydany w języku rosyjskim w roku 1943 tom poezji Konopnickiej był również przetłumaczony przez niego samego. Tłumacz ukończył także przekład „Wesela“ Wyspiańskiego, zachowując od początku do końca rytmikę oryginału.

Kowalenski pochodzi z rodziny polsko-litewskiej. Jest on autorem 3 prac teoretycznych z dziedziny sylabiki wiersza.

◆

NOWA KSIĄŻKA JERZEGO EUG. PŁOMIEŃSKIEGO

Z końcem lutego pojawiła się nowa książka Jerzego Eug. Płomieńskiego p. t. „W kręgu polskiej irredenty“ (o E. Dembowskim, Jakubie Szeli, Sacher-Macochu i rzezi galicyjskiej) nakł. Państw. Instytutu Wydawniczego. Autor wydał przed wojną szereg rozpraw z zakresu krytyki lit. i historii literatury, historiografii i filozofii kultury, ponadto tom studiów lit. p. t. Szukanie współczesności. Był współpracownikiem szeregu poważnych pism naukowych i literackich, polskich i zagranicznych.

◆

„O TRWAŁYCH I NIETRWAŁYCH WARTOŚCIACH RENESANSU“

Dnia 27 lutego r. b. w ramach imprez Związku Zawodowego Literatów Polskich i Klubu Literackiego odbył się w przepełnionej auli Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego odczyt prof. dr. Juliusza Kleinera na temat: „O trwałych i nietrwałych wartościach renesansu. Część I: Dążność i zdobycze. Część II: Osobistość i artyzm“.

Uwidoczniwszy wielkość renesansu, prelegent rozgraniczył pojęcia renesansu i humanizmu i naszkicował fazy różnorodne tych prądów. Wskazał, jak się kształtowała we Florencji Medyceuszów nowa postawa duchowa: poczucie bogactwa sił własnych i ufność bezwzględna w te siły, radosne ogarnięcie świata zewnętrznego i dążność, by go opanować poznaniem, kształtowaniem, ujęciem. Uwzględnił prof. J. Kleiner i szkołę włoską i podróże odkrywcze i przełom w astronomii oraz w innych naukach, i rozkwit magii. Sięganie do źródeł uznał za drogę humanizmu i również za drogę reformacji, poza tym będącą przeciwieństwem renesansu. Omawiał zeświecczenie nauki i sztuki, demokratyzację i jednocześnie elitaryzm, przejście od średniowiecznego uniwersalizmu wchłaniającego jedności do epoki jednostki uniwersalnej pragnącej rozwinąć pełnię mocy i wchłonąć pełnię życia, wrogą jednostronności i skrępowaniu.

Część drugą wykładu prelegent poświęcił przede wszystkim typowi osobistości renesansowej, która w różnych odmianach wyłania się z „Dworzanina“ Castiglionego, z „Księcia“ Machiavellego i ze „Szkiców“ Montaigne'a; zaznaczył niebezpieczeństwa tkwiące w tych koncepcjach i kryjącą się na dnie wybujałego indywidualizmu pogardę człowieka. Z entuzjazmem uprzytomnił wielkość Lionarda da Vinci, zintelektualizowaną równowagę jego wszechstronności i tragiczną potęgę twórczą Michelangela, rozsadzającą ramy wszelkie. Zaznaczył, jak pomimo spoganienia Juliusza II, na równi z Michelangelem określany przez współczesnych mianem „straszliwości“ **(la terribilità)**, służył potężnie chwale Bożej monumentalnymi dziełami. Mówił o amoralizmie Aretina i o demonizmie Cezara Borgii. Z kolei przeszedł do cech architektury, wskazując w jej stylu fasadowym kult pozoru, i do zdobyczy epokowych rzeźby i malarstwa. Wspomniał o muzyce Pallestriny. W poezji humanistycznej uwydatnił pewne jej fałsze, ale także płodność jej podniet. Zaszczyt renesansu na równi z Lionardem, z Michelangelem i z Pallestriną uznał Shakespeare'a, ostatniego z tych, co świadectwo dają wielkości spotęgowanych sił twórczych, będącej istotą odrodzenia.

◆

LUBELSKIE ŚRODY LITERACKIE

Po odczycie prof. Juliusza Kleinera o „Trwałych wartościach Renesansu“ i wieczorze „Reflektora“, urządzonych przez Związek Zawodowy Literatów i Klub Literacki, odbędzie się z kolei 3 kwietnia w sali Towarzystwa Muzycznego wieczór autorki „Dziwu“ Marii Bechczyc - Rudnickiej. Na program tej środy literackiej złoży się fragment z niedrukowanej jeszcze powieści „Po kamień co w ogniu gore“ i nowela biograficzna „Ku nowym brzegom“. Na początek mają przewidziany jest uroczysty wieczór ku czci Henryka Sienkiewicza.

T E A T R

TEATRALNY KOMITET DORADCZY
Reorganizacja Departamentu Teatralnego

Minister Kultury i Sztuki powołał do życia Komitet Doradczy Departamentu Teatru. Komitet ma na celu współpracę z Ministerstwem Kultury i Sztuki dla dobra sceny polskiej. W skład Komitetu wchodzą mianowani przez ministra trzej członkowie. W obradach Komitetu uczestniczą nadto: przedstawiciel ZASP-u i osoby zapraszane do specjalnych zagadnień przez Dyrektora Departamentu Teatru. Na skutek powyższego zarządzenia Wiceminister Kultury i Sztuki Leon Kruczkowski powołał na członków Komitetu Doradczego dyr. Leona Schillera, Dyrektora Państwowego Teatru Polskiego dr. Arnolda Szyfmana i krytyka teatralnego Bohdana Korzeniowskiego, zapraszając jednocześnie do udziału w pracach Komitetu delegata ZASP-u. Przewodniczącym Komitetu w myśl zarządzenia Ministra jest Dyrektor Departamentu Teatru Michał Rusinek.

Oddzielnym zarządzeniem Ministra Kultury i Sztuki zreorganizowano Komisję Repertuarową. Komisja powołana została w celu oceny bieżącej twórczości dramatycznej pod względem artystycznym i wychowawczym i ułatwienia autorom polskim realizacji ich utworów na scenie, jak też w celu ochrony repertuaru teatrów polskich przed napływem sztuk obcych bezwartościowych artystycznie i wychowawczo, przy jednoczesnym udostępnieniu scenom polskim wybitnych dzieł obcej literatury dramatycznej.

Regulamin Komisji przewiduje ocenę wszystkich nowych sztuk polskich, sztuk zagranicznych w oryginale i przekładów oraz umożliwia członkom Komisji wysuwanie postulatów w sprawach repertuaru scen polskich na podstawie przeczytanych sztuk. Prawo zgłaszania sztuk przysługuje autorom, dyrektorom teatru, podejmującym z własnej inicjatywy zamierzenia repertuarowe, i agencjom. Sztuki, które uzyskają pozytywną ocenę, kierowane będą do Agencji Teatralnej i Dyrekcji Teatrów. Negatywne oceny sztuk podane będą zainteresowanym wraz z podaniem motywów, przy czym przewidziane zostało prawo odwołania się do Ministra.

Utwory dramatyczne, podlegające ocenie, należy przesyłać do Departamentu Teatru Ministerstwa Kultury i Sztuki, o ile możności w dwóch egzemplarzach.

◆

ZBIORY TEATRALNE W LUBLINIE

Przed wojną znajdowały się zasobne zbiory do dziejów sceny lubelskiej w w. XIX i w pierwszym czterdziestoleciu w. XX. Wykorzystał je częściowo p. Stanisław Dąbrowski w cennej pracy o teatrze lubelskim, ponadto przed kilku laty przeglądnąłem cały szereg rękopisów utworów dramatycznych polskich, w zbiorach owych znajdujących się, nieraz istotnie wartościowych. Już wówczas jednak były te zbiory trudno dostępne, do tego nieodpowiednio przechowywane ulegały powolnemu zniszczeniu.

Tą krótką wzmianką pragnąłbym zainteresować czynniki i osoby, którym losy zbiorów teatru w Lublinie leżą na sercu. Może zechcą wyjaśnić, gdzie i w jakim stanie znajdują się obecnie.

Dr Wiktor Hahn

M U Z Y K A

WARSZAWA

Szereg polskich wirtuozów udaje się na występy zagranicę. Według otrzymanych dotąd informacji — do ZSRR na gościnne występy zostali zaproszeni: E. Bandrowska, J. Ekier, E. Umińska i K. Wiłkomirski; do Turcji wyjeżdżają: St. Szpinalski, M. Drewniakówna i W. Raczkowski; do Szwecji H. Sztompka; do Paryża G. Bacewiczówna.

Rzym zainteresował się muzyką polską, a zwłaszcza solowymi utworami Szymanowskiego i Różyckiego, o które zwrócił się do Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W dniu 24 lutego odbył się pierwszy koncert Warszawskiego Zespołu Kameralnego w składzie: Z. Rabcewiczowa (fortepian), na zmianę z W. Mierzejewskim, H. Gołębiowski (skrzypce), M. Szalewski (altówka) i T. Gocławski (wiolonczela). Udział w zespole pierwszorzędnych muzyków zapewnia mu dobrą i piękną przyszłość.

W dniu 12 lutego, po odczycie w sali ratuszowej wicemin. L. Kruczkowskiego na temat zagadnień kultury i sztuki, wystąpiła Orkiestra Ludowa Zrzeszenia Muzyków pod dyr. Jana Kolasińskiego. Orkiestra ta ma duże zasługi na terenie miasta Warszawy, a zwłaszcza Pragi, gdzie urządzała koncerty z narażeniem życia jeszcze podczas oblężenia Stolicy w r. 1944/45 jako jedyny zespół muzyczny istniejący wśród śmiertelnych zapasów o ruiny Warszawy.

Dnia 10 marca odbył się koncert Miejskiej Orkiestry Symfonicznej w Teatrze Polskim pod batutą Nawrota. W programie muzyka operetkowa. Solistami byli: M. Karwowski i J. Popławski. Publiczność dopisała.

J. Sw.

ZBIORY WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO POWRACAJĄ Z TUŁACZKI WOJENNEJ

Ukryty przez kustosza W. T. M. prof. A. Chromińskiego zbiór listów St. Moniuszki został przechowany przez ob. Cz. Szenka i powrócił w całości do biblioteki Towarzystwa.

Popiersie Moniuszki z brązu zostało podczas pożaru Filharmonii Warszawskiej w 1939 roku wykradzione przez szabrowników, wywiezione na Pragę i zaproponowane do kupna jako szmelc do jednej z odlewni.

Dyr. fabryki Perkun inż. Jan Waśkiewicz wykupił z rąk szabrowników popiersie mistrza, przechował je przez cały czas okupacji niemieckiej i obecnie zwrócił kustoszowi Tow. Muzycznego. Dzięki tak obywatelskiemu czynowi dyr. Waśkiewicza pamiątkowy i cenny brąz powrócił znowu do zbiorów W. T. M.

Kustosz W. T. M. zwraca się z prośbą do społeczeństwa, by, w razie znalezienia gdzieś nut lub innych przedmiotów sztuki z sygnaturą Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego powiadomiono o tym kustosza W. T. M. prof. A. Chromińskiego pod adresem: Warszawa, Szpitalna 5 m. 15.

◆

LUBLIN

Z okazji 136 rocznicy urodzin Szopena Towarzystwo Muzyczne w Lublinie urządziło dwa koncerty szopenowskie.

Piątkowy koncert 22 lutego był prawie że recitalem Marii Wiłkomirskiej, gdyż zapowiedziany koncert f-moll z udziałem orkiestry nie został wykonany. Usłyszeliśmy tylko Largo Es-dur, rodzaj zapomnianego hymnu, w instrumentacji Z. Szczepańskiego, oraz poloneza As-dur. Polonez ten jest jednym z wybitniejszych utworów światowej literatury fortepianowej i w transkrypcji orkiestrowej zatraca właściwe mu zalety pianistyczne. Wydaje się, że tego rodzaju zapełnianie luki w programie koncertu, zwłaszcza w wykonaniu niezbyt starannym, nie wpływa dodatnio na zbliżenie nam twórczości Szopena, ani nie stanowi dodatniej pozycji w rozwoju orkiestry. Maria Wiłkomirska, zawsze dobra i niezawodna technicznie pianistka, wykonała w drugiej części koncertu Sonatę h-moll, Poloneza fis-moll, Balladę g-moll, kilka Etiud, Scherzo cis-moll i Preludia.

W Akademii niedzielnej wzięli udział lubelscy pianiści: A. Wielhorski, A. Bay, J. Łosakiewicz i J. Holzer, oddając hołd genialnemu twórcy wykonaniem szeregu przeważnie drobniejszych utworów.

J. Sz.

Z imprez odbytych w Lublinie w lutym zasługują na specjalne podkreślenie koncerty kolędowe połączonych chórów lubelskich, dające początek ściślejszej współpracy dyrygentów chóralnych na płaszczyźnie społecznej w ramach sekcji dyrygentów Zaw. Zw. Muz. Inicjatywie tej, przy wzajemnym respektowaniu ambicyj artystycznych i pożytecznej wymianie zagadnień metodycznych, można życzyć jak najgorętszej realizacji na dłuższą metę.

J. K.

◆

POZNAŃ

W Poznaniu projektuje się zorganizowanie Festiwalu Sztuki Ludowej.

Z inicjatywy Zw. Muzyków, Zw. Kompozytorów i Wlkp. Zw. Śpiewaczego w Poznaniu wyłonił się komitet w składzie: M. Weigt, S. Kwaśnik, dr J. Młodziejowski i S. B. Poradowski, który zorganizował t. zw. Poznańskie Środy Muzyczne. Pierwsza Środa zgromadziła elitę muzyczną i kulturalną miasta, obejmując programem mniej znane arcydzieła Szopena.

◆

ŁÓDŹ

Koło Muzyczne Polskiej YMCA organizuje pierwszy konkurs śpiewaczy, w którym będą uczestniczyć śpiewacy i śpiewaczki do 35 lat, zamieszkujący Łódź i województwo łódzkie.

◆

SOPOTY

Festiwal Sztuki Ludowej projektowany jest na miesiące letnie, które przypuszczalnie w tym roku ożywią liczni miłośnicy wybrzeża.

J. Sw.

F I L M

MARTYROLOGIA POLSKI W FILMACH ZAGRANICZNYCH

W jednym z przodujących kin Sztokholmu, w rocznicę wyzwolenia stolicy, odbył się pokaz filmu p. t. „Niebezpieczny blask księżyca“. Film ten, produkcji amerykańskiej wytwórni RKO, powstał w roku 1940. Tematem jego jest obrona Warszawy w roku 1939. Całkowity dochód z pokazu filmowego przeznaczony został na rzecz towarzystwa „Hjälp Warszawa“ — (Pomoc Warszawie).

* * *

W Kijowie, w tamtejszej wytwórni filmowej, ukończono zdjęcia do filmu „Zygmunt Kołosowski“. Tematem filmu jest walka patriotów polskich z hitlerowskim okupantem. Oto treść filmu: dziennikarz polski — Zaremba — nie mogąc znieść warunków życia podczas okupacji, popełnia samobójstwo. Przyjaciel jego, dziennikarz polski Kołosowski, prowadząc walkę podziemną z wrogiem, mści się za śmierć swego przyjaciela.

Scenariusz pióra Igora Łukowskiego osnuty jest na autentycznym wydarzeniu. Rolę główną gra Borys Dmochowski.

◆

NOWY POLSKI FILM ŚREDNIOMETRAŻOWY

W najbliższych dniach ukaże się na ekranach kin polskich nowy film średniometrażowy produkcji polskiej p. t. „Norymberga“.

Film ma charakter kompozycyjno-dokumentalny i ukazuje w skrótach historię miasta, które z kolebki europejskiej kultury stało się jaskinią brunatnego terroru, miejscem hitlerowskich parteitagów, duchową stolicą zbrodniarzy spod znaku swastyki, a dziś jest symbolem kary i sprawiedliwości, którą ludzkość wymierza niedoszłym „władcom świata“.

Film „Norymberga“ opracowany został przez Antoniego Bohdziewicza i Wacława Kuźmierczaka.

M U Z E A

DO POLSKI WRACAJĄ VIA MOSKWA ZRABOWANE PRZEZ NIEMCÓW MUZEA

W Muzeum im. Puszkina w Moskwie odbyło się przekazanie przedstawicielom Rządu Polskiego eksponatów muzeum Wielkopolskiego i Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. W czerwcu 1945 r. Czerwona Armia znalazła w jednym z miast w Prusach Wschodnich opakowane w skrzyniach eksponaty muzealne. Skrzynie te zostały przesłane do Moskwy i specjaliści radzieccy stwierdzili, że zostały one zrabowane w Polsce.

Eksponaty zawierają przeszło 400 obrazów, wśród nich cenne dzieła Bacciarellego i Rafaela, oraz przeszło 2 tysiące sztychów. Jest także cenna kolekcja broni (84 sztuki), wśród niej ogromnej wartości historycznej broń turecka i tatarska oraz berło króla Stanisława Leszczyńskiego. Są również zabytkowe monstrancje i kielichy, zbiory numizmatyczne, naczynia szklane, porcelanowe oraz 13 skrzyń najrozmaitszych materiałów artystycznych.

W najbliższych dniach eksponaty będą odesłane do Polski.

TREŚC NUMERU:

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

W. W. w Szczecinie — Wkrótce damy decydującą odpowiedź.

A. K. w Niemcach — Jeszcze nie do druku.

Z. G. w Zamościu — W najbliższym numerze rozpoczniemy druk artykułów, dotyczących estetyki wnętrz mieszkaniowych. Uwagi Pana są więc trafne. Dziękujemy za zrozumienie.

J. R. w Piotrkowie — Trudności natury technicznej utrudniają przejście na tygodnik, jak tego sobie życzą nasi Czytelnicy. Po pokonaniu przeszkód i poparciu odbiorców pisma „Zdrój“ stanie się pismem tygodniowym.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13: tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Numer pojed. 6 zł. Prenumerata wraz z opł. poczt.: miesięcznie 13 zł, kwartalnie 39 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje: FRANCISZEK TWARDOŃ.

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski, Lublin, Kościuszki 4